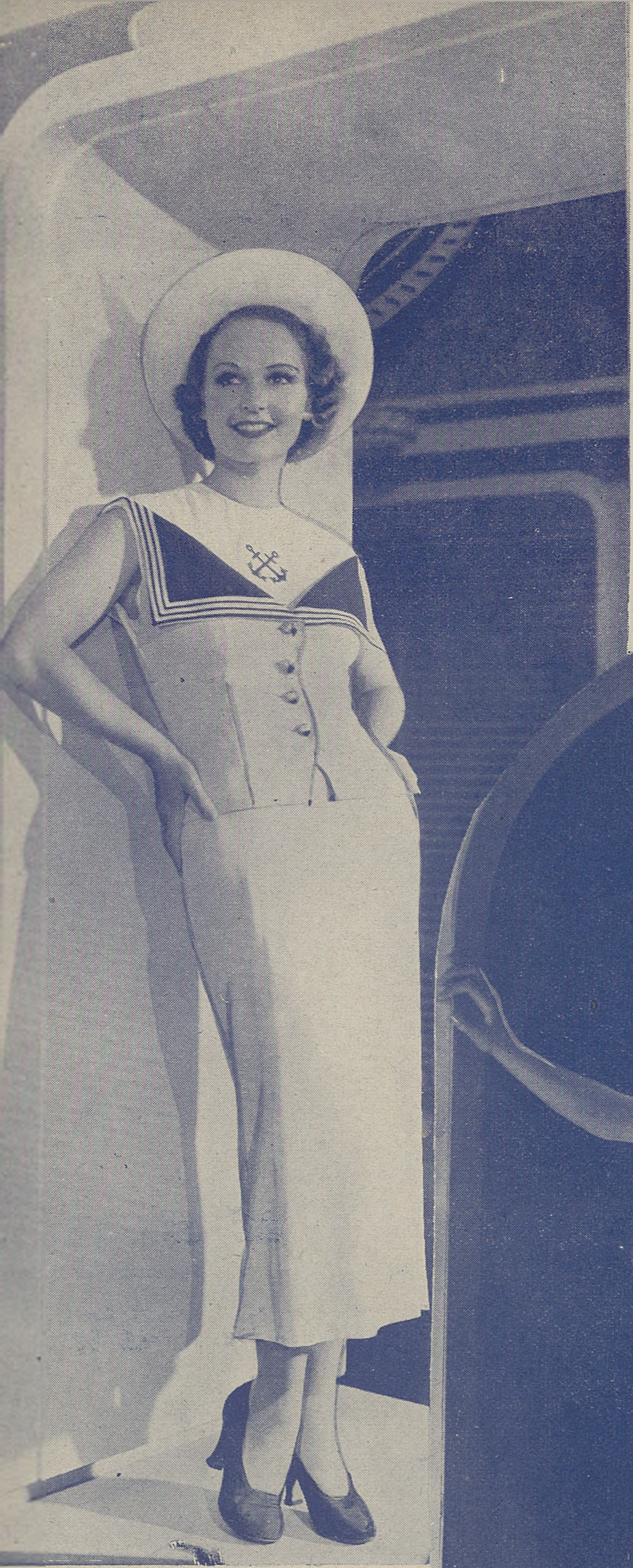
TYGODNIK KOBIETY

CENA 50 GR.

Nr. 17

26 kwietnia 1936 r.









SUKNIA MORSKA Z BIAŁEGO PŁÓT NA, PRZYBRANA GRANATOWEMI WYŁOGAMI I HAFTOWANĄ KOTWICĄ. PHOTO PARAMOUNT.

KATHLEEN BURKE NOSI TAKI KOSTJUM Z ZIELONEJ SKÓRY RAZEM Z BERETEM I WORKIEM. ZAMIAST SKÓRY MOŻNA UŻYĆ WEŁNY LUB PŁÓTNA. PHOTO PARAMOUNT.

3. SUKNIA WIECZOROWA W STYLU SPORTOWYM WYKONANA Z ŻÓŁTEGO JEDWABIU. PHOTO IVA.

NA OKŁADCE
MAŁA GWIAZDA VIRGINIA WEIDLER.
PHOTO PARAMOUNT.

TYGODNIK KOBIETY

ROK II. Nr. 17. 26 KWIETNIA 1936 R.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, SZPITALNA 15 m. 5 — TELEFON 5-07-03

PANI DOKTÓR IDZIE

— Możeby pani poszła ze mną na obchód mojej dzielnicy? Mam dzisiaj sześć wizyt na rozmaitych ulicach. Trochę mi też pani pomoże, dobrze?

Zgodziłam się skwapliwie.

Mieszkańcy dzielnicy, w której ordynuje zaprzyjaźniona ze mną lekarka, składają się z dwóch warstw społecznych: bardzo zamożnej, zamieszkującej piękne lokale w nowoczesnych domach lub własne wille, i z tej najbiedniejszej, gnieżdżącej się w norach zwanych mieszkaniami.

Tuż za rogiem uderza nas w twarz tuman kurzu: dzień jest przezroczysty, jasny, wiosenny, darzący szerokim powiewem wschodniego mocnego wiatru.

W odległości trzydziestu kroków od wyasfaltowanej ulicy zaczyna się wyboista i rozjechana przez wozy polna droga pomiędzy dwoma szeregami wybudowanych współczesnych kamienic. Po karkołomnych ćwiczeniach ekwilibrystycznych na deskach i belkach, tworzących coś w rodzaju chodnika, skręcamy w ulicę niskich, nawpół rozwalonych i odrapanych ruder.

Ściekami płyną pomyje i mydliny; w podwórzach suszy się na sznurach bielizna i kolorowe szmaty. Pełno tu składów, na skoble pozamykanych rupieciarni i składzików, komórek i przegródek na węgiel, stosów desek i drzewa opałowego. Gdzieniegdzie dorożkarz myje swój wehikuł a dzieciaki babrzą się w kałużach brudnej wody; w kilku miejscach przed otwartemi wrotami „garażu" stoją samotnie taksówki. Wszędzie pełno dzieciaków; okutane to, ubrudzone, rozwrzeszczane, rozbiegane.

Numer 56? Tak, zgadza się.

— Gdzie tu mieszka pani Nowakowa?

— A względem czego? — wychyla się z za drzwi czerwona z jakiegoś wielkiego utrudzenia twarz kobiety.

— Z Kasy Chorych. Tam jest ktoś chory?

— A jest. Ta jeich mała. To trzeba tamtędy... Od chrontu i w lewej suterynie. Józek, a powiedzno tam, że pani doktór idzie!

Wyślizgane drewniane schody. Ciemno. Czuć stęchliznę, gotowaną kapustę i jeszcze coś nieuchwytnego, co charakteryzuje brud i nędzę. Gdzieś na dole widać pasemko światła z uchylonych bocznych drzwi. Stoi w nich stara kobieta.

— Pani doktór będzie łaskawa... O tu, tu... Zasnęła, ale zaraz ją obudzę. Basia! Basiunia! — Wyschła ręka babki odsuwa pierzynę z rozpalonego ciałka. — O, jaki to gorąc od niej idzie! Ale jadła dobrze, proszę pani doktór, owszem nie można powiedzieć: i schab i kiełbasy zjadła. Tylko płacze, że ją niby w brzuszku boli i co zje, to odda.

— Niechno babcia weźmie dziecko na ręce i da tu bliżej do światła.

Patrzę w górę, skąd płynie szare światło dnia: na połowie szyb od góry przesuwają się rozmaite nogi dziecięce, przefruwa kobieca spódnica — nic więcej nie widać. Stara niesie małą do okna. Główka o pozlepianych od potu włoskach bezsilnie opada jej przez ramię, oczy dziecka są szkliste i mętne.

— Dawno ona już tak...?

— Ano, będzie ze trzy dni.

— Dlaczego nie przyniesiono małej do mnie odrazu przed trzema dniami? Dziś dziecko ma już 39,5°, — irytuje się doktorka.

— Iiii, — lekceważąco odpowiada babka, ktoby się tam zaraz o brzucho turbował? Poboli i już.

— Nie wolno dawać małej nic, ale to zu-peł-nie nic, skanduje lekarka po zbadaniu chorej, — zapiszę tu dwa lekarstwa. Trzeba dawać co dwie godziny, a jutro będę.

— I tak bez jedzenia, pani doktór? — pyta stara powątpiewająco, — to ono wcale takiej gorączki nie strzyma!

— Wytrzyma, doskonale wytrzyma, — uspakaja ją surowo moja towarzyszka, — dziecko jest zatrute, trzeba organizm przeczyścić. Czy pani wie, co będzie? — dodaje już na ulicy. — Ojciec, który jest kelnerem, przyniesie znowu jakiś „przysmak" i nakarmią dzieciaka, a ja będę miała tu jutro bal! Muszę wpaść do nich jeszcze dziś wieczorem i jutro z samego rana, żeby ich nastraszyć, bo gotowi przyprawić małą o zapalenie kiszek.

Który to numer?—sprawdza w notatniku, — tak, to tutaj, — staje przed domkiem, nawpół zapadłym w ziemię. — Tędy, przez sionkę, potem korytarzykiem na drugie podwórko, o, już jesteśmy.

— Ależ... ależ to chlew! Zwykły chlew!

— Tak, — zgadza się lekarka spokojnie, otwierając skrzypiące wrótka. — Jest tam kto? — woła do wewnątrz.

— Jest! — melduje się słaby dziecięcy głosik. Pani doktór poczeka... ja zaraz...

Wchodzimy. Tak, to chlew, były chlew, w którym na ziemi niema nawet podłogi, nawet choćby kilku desek. W kącie stoi łóżko, a raczej barłóg, na środku stół, jakieś paki czy taborety, w żelaznym piecyku tli się żar. Zaduch straszliwy. W szklance na stole rozbłyskuje wątłe światełko świecy, przysuniętej do samego skraja aby można było zobaczyć chore dzieci. Jest ich dwoje: dziewczynka może ośmioletnia i roczny chłopiec. Pod ko-

cami i workami leżą na słomie, — a mały trzyma mocno w objęciach niemowlę, śpiące ze smoczkiem w ustach...

— Cóż to, Marysiu, — powiada lekarka, głaszcząc pieszczotliwie dziewczynkę po twarzy, — i ty także leżysz?

— Bo mnie znowu w boku boli, — tłumaczy się mała nieśmiało, — a i jemu zimno, to razem cieplej.

— Mama dostała pracę?

— Nie, tak chodzi...

— A macie coś do jedzenia?

Mała nie odpowiada.

— No, Marysiu, co dziś jadłaś? — Cisza. — A braciszek? — Władziowi to dałam kartofli, co były! — śpiesznie wyjaśnia dziewuszka.

Lekarka zapala elektryczną latarkę i stawia ją na stole.

— Zobaczymy dziś twojego kawalera, — powiada przyjaźnie. — Dajno go tu do mnie. Może mi go pani potrzyma, bo Marysia jakoś słaba.

Biorę dziecko na ręce, a w tejże chwili drobnem ciałkiem wstrząsa atak straszliwego kaszlu; w piersiach malca huczy coś i rzęzi, dławiąc mu oddech i naprężając wszystkie muskuły.

— Koklusz? — rzucam pytająco lekarce.

Potakuje w milczeniu, poczem wysłuchuje ciężko dyszące piersi dziecka. — No tak, — powiada, chowając stetoskop — no taaak... Chodźno teraz ty, Marysiu. Kaszlesz? tylko w nocy? I pocisz się?

— Taaak,—powtarza w zamyśleniu. Siedzi na skrzyni przed stołem wpatrzona w światło latarki; jej ładna, zazwyczaj ożywiona twarz poszarzała i zmatowiała. — Proszę pani doktór, — zapytuje dziewczynka, wciągając sukienkę przez głowę, — a czy mogę już znowu przychodzić na obiady do pani doktór? — Moja towarzyszka budzi się z zamyślenia i jest wyraźnie niezadowolona.

— Nie gadaj tyle, Marysiu, już ci mówiłam, że kiedy nie będziesz miała gorączki, to masz przychodzić.

— Z Władziem... — Bo my wszystko zjedlim, co pani przysłała, — wyjaśnia mała.

Pani doktór jest teraz naprawdę zirytowana, coś burczy, zbiera swoje manatki i po chwili jesteśmy już na ulicy. „Aha", myślę sobie, patrząc na łagodny profil mojej towarzyszki, — „toś ty taka...?"

— Bo, widzi pani, zaczyna doktorka w tej chwili, jakby w odpowiedzi na moją myśl, — dawniej, kiedy matka ich była ubezpieczona, przychodziłam do małych z Ubezpieczalni, ale teraz biedaczka niema pracy, powodzi jej się coraz gorzej, a dzieciaki mają gruźlicę, więc przychodzę tak...

„I pomagam" kończę w myślach, ale nic już nie mówię, bo znam „panią doktór" dobrze i nie chcę się narazić, aby mi przerwała w pół słowa.

d. n. *Zofja Petersowa.*

Rola Kobiet w ruchu zawodowym

Czołowe miejsce wśród państw Europy Zacohdniej pod względem zorganizowania zawodowego kobiet zajmuje Austrja.

Co do pracownic biurowych, to zorganizowanie bądź w związkach mieszanych, bądź kobiecych, choć dość znaczne od czasu Wielkiej Wojny, t. j. od momentu kolosalnego wzrostu pracy biurowej kobiet, daje małe efekty, gdyż zainteresowanie ich w łonie samych związków jest nikłe.

Jednym z powodów tak słabego udziału kobiet w ruchu zawodowym jest może to, że związki zawodowe męskie przez długi okres czasu niechętnie lub wcale nie przyjmowały kobiet. Okoliczność ta wpłynęła w dużym stopniu na słabe wyrobienie społeczne kobiet.

Pruska ustawa o stowarzyszeniach z 11 marca 1850 roku w par. 8 podaje, że nie wolno przyjmować na członków kobiety, uczniów i terminatorów do stowarzyszeń, które zamierzają roztrząsać na zgromadzeniach publicznych kwestje polityczne. Należy wyjaśnić, że na podstawie orzeczeń sądowych stowarzyszenia robotnicze w Prusach po 1848 roku były uważane za polityczne, o ile domagały się pomocy państwa zarówno w prawodawstwie, jak i w administracji, celem osiągnięcia lepszych warunków pracy i sprawy te poruszały na zgromadzeniach.

Mówiąc o roli kobiety w ruchu zawodowym muszę nadmienić po pierwsze, że kobieta ma te same zadania do zrealizowania, jakie stawia sobie ruch zawodowy w ogólności, a pozatem zagadnienia specjalne, związane ze specjalnem ustosunkowaniem się do pracy kobiet.

Pierwszem i naczelnem zadaniem ruchu zawodowego jest zjednoczenie mas pracujących, celem stworzenia ze związków prawdziwej siły, z którąby się liczono. Następnie przyciągnięcie ogółu członków do czynnego udziału w życiu związkowem, celem wpływania na politykę związku i jego zarządy w kierunku walki o poprawę bytu pracujących.

Związki zawodowe dążą do przeobrażenia umowy najmu jednostkowej na zbiorową, t. zn. od tego, aby nie pozostawić warunków pracy samowoli poszczególnego pracownika i przedsiębiorcy, lecz układać je za pośrednictwem przedstawicieli organizacyj dwu stron, czyli pracowników i pracodawców.

Pod względem materjalnym wymagają przedewszystkiem stosunki płacy nieustannej uwagi związków zawodowych, gdyż co do płac panuje wielka dowolność w umowie najmu. Czas pracy, higjena pracownicza, ubezpieczenia społeczne, urządzenia bezpieczeństwa w zakładach przemysłowych, pomimo, iż zostały uregulowane ustawowo, wymagają ciągłej pieczy ze strony związków, ze względu na stałe uchybienia i zamachy na zdobyte ustawodawstwo socjalne i ze względu na bardzo ograniczony budżet inspekcji pracy.

Zasadniczo do zadań ruchu zawodowego należy również odpowiednia polityka na rynku pracy, celem zapobiegania przepełnieniu na tym rynku.

Niestety, obecnie długotrwała zła sytuacja gospodarcza i wyczerpane zasoby materjalne związków nie pozwalają na tego rodzaju akcję.

Jednem słowem związki zawodowe są z istoty swej dobrowolnie zjednoczeniami pracowników dla wzajemnej obrony i pomocy w walce o lepsze warunki pracy.

Specjalne zagadnienia kobiety w ruchu zawodowym wypływają z nieprzychylnego ustosunkowania się mężczyzn do pracy kobiet. Ustosunkowanie to powstaje na skutek tego, iż konkurencja pracy kobiet powoduje taki stan, że dochód społeczny, podlegający podziałowi pomiędzy kapitał i pracę, w swej części przypadającej na pracę musi być podzielony przez znacznie większą ilość uczestników, co powoduje obniżanie się płac roboczych, a ponadto powstaje z konserwatywnego poglądu, wyrażającego się w twierdzeniu, że jedynem właściwem miejscem dla pracy kobiecej jest dom.

Niemniej jednak, wszelkie planowe koncepcje, zmierzające do tego, aby wyrugować pracę kobiet z rynku pracy są przeznaczone na zagładę, gdyż kobieta zawsze brała udział w pracy. W „Pracy" Dr. Zofji Daszyńskiej-Golińskiej czytamy, że kobiety w obrębie ustroju cechowego występowały w środkowej i zachodniej Europie jako czeladniczki, a nawet mistrzynie.

Korporacje cchowe przyznawały kobietom coprawda prawa jedynie przez wzgląd na rodzinę, za utrzymanie i byt której po śmierci majstra spadała odpowiedzialność na jego wdowę, o ile w dalszym ciągu prowadziła wytwórnię rzemieślniczą. Córki pomagały ojcom i stawały się czeladniczkami. Przed wprowadzeniem nowoczesnej maszyny widzimy kobietę w pracy przetwórczej, zwłaszcza w sporządzaniu przędziwa i tkaniny. W Anglji król Edward III wydaje prawo zabraniające mężczyznom używania prząśnicy i wrzecion, aby nie odbierali oni zarobku kobietom.

W okresie przemysłu domowego, czyli w początkach kapitalizmu, gdy ten kapitalizm zatrudniał po domach drobnych wytwórców, przemysłami przeważnie kobiecemi był wyrób koronek i haftów. Po wprowadzeniu maszyny do szycia z napędem elektrycznym i parowym wzrasta liczba kobiet pracujących w przemyśle konfekcyjnym produkującym odzież gotową na skład.

Gdy ze zmianami technicznemi czynności te przeniesione zostały do fabryki, kobiety i matki poszły do fabryk. Kapitalizm podporządkował swemu panowaniu zarówno kobiety, jak dzieci i mężczyzn, bez względu na to, czy zaprowadzona była dzienna, czy też nocna praca. Nawet w podziemiach obie płci, jak również i kobiety w ciąży, wykonywały tę samą pracę i w tym samym przeciągu czasu; taki stan trwał do momentu wprowadzenia odpowiednich przepisów ochronnych w ustawodawstwie socjalnem.

Wielka Wojna rzuciła większe masy kobiet na rynek pracy i załamała jeszcze bardziej istniejący przed wojną porządek gospodarczy i społeczny. Kobiety, zastępując walczących mężczyzn, napływały masowo do fabryk broni, do zakładów metalurgicznych, do urzędów i instytucyj prywatnych i brały udział w pomocy sanitarnej. Te pracownice i robotnice powstrzymały od ostatecznego cofnięcia się ludzkości w kulturze materjalnej i uchroniły ją od głodu. Kobiety dały możność sprawdzenia na szerokim terenie swych uzdolnień do pracy. Ewolucja, jaka zaszła w związku z Wielką Wojną, całkowicie załamała tkwiący głęboko pogląd mężczyzn co do podziału pracy, który wyrażał się w twierdzeniu, że życie publiczne powinno być pozostawione mężczyźnie, a życie prywatne (domowe) — kobiecie.

Dziś nawrót do starej równowagi społecznej i nadzieje powrotu do dawnych warunków są nie do pomyślenia. Ewolucja idzie wbrew ideom apoteozowanym lub sankcjonowanym i wskazuje na to, że kobieta przyszłości w większości swej będzie kobietą-pracowniczką i, że w miarę zdobywanego doświadczenia, stawać się będzie bojowniczką o swe uprawnienia gospodarcze, ściśle związane z prawami politycznemi. Wprowadzone w wir walki o pracę, kobiety nie potrafią dziś, tak samo jak i mężczyźni, ograniczyć swych pożądań do przyjemności bezużytecznych i do korzystania z zarobków cudzych. Ponadto zaś samo życie nie chce zwolnić ich z troski o egzystencję.

Ale mężczyźni - pracownicy zrozumieć tego nie chcą, wysuwając postulat braku pracy dla wszystkich. Nawet w łonie samych związków zawodowych mieszanych przejawiają się dążenia do zmonopolizowania pracy wyłącznie w rękach mężczyzn. Nie biorą mężczyźni pod uwagę tego, że świat pracy powinien stale domagać się powiększania czasu poświęconego odpoczynkowi pracownika, który to czas jest potrzebny dla stworzenia silnego twórczego typu człowieka. Odpowiedni podział pracy wykluczyłby błędne mniemanie o braku pracy.

Kobiety - bojowniczki zrozumiały, że dotychczasowe apelowanie do sumienia i szlachetnych uczuć płci uprzywilejowanej nie doprowadza do osiągnięcia pełnej równości i sprawiedliwości, że bezład stosunków seksualnych, pomimo istnienia dzisiejszej rodziny monogamicznej, zrzuca w dużej ilości wypadków ciężar utrzymania rodziny na kobietę i, że brak braterstwa pomiędzy ludźmi, zmusza każdego człowieka do walki o los własny, to też głoszą one, że w epoce naszej, która zrodziła kult pracy, jako źródło wszelkiego dobra i kultury, kobieta jak i mężczyzna w samodzielnym wysiłku muszą energicznie zabiegać o minimum swej egzystencji.

Pewne prawa osiągnęły jednak dotychczas tylko nieliczne kobiety, daleko bardziej dzielne i wybitne niż współzawodniczący z niemi mężczyźni. Reszta kobiet jest stale odsuwana przez mężczyzn, nawet często mniej od nich utalentowanych i zasłużonych, mających za jedyną zasługę to, iż są mężczyznami. Ten stan rzeczy przepowiedział prof. Dr. Leon Petrażycki w 1906 roku i słowa te wygłosił w mowie „O prawa dla kobiet" w pierwszej dumie rosyjskiej. Powiedział on, że usuwanie kobiet znajduje usprawiedliwienie tylko z takiego punktu widzenia, że państwo i służbę państwową uważają mężczyźni za źródło dochodów dla siebie, chodzi im bowiem o wykrojenie jaknajtłustszego kęska w możliwie jaknajłatwiejszej drodze. Nie bacząc na dobro powszechne mężczyźni roztrwaniają wielkie ilości sił narodowych przez wykluczenie wielkich uzdolnień i talentów. Ta klęska społeczna powoduje dla mnóstwa kobiet sytuację nędzy bez wyjścia. Petrażycki głosił te słowa bez względu na to, że istniejące przesądy mogły poderwać jego opinję jako poważnego polityka a nawet narazić go na szyderstwa.

D. c. n. *Marja Sierakowska.*

Najzdradliwszy z pośród wrogów

Powiedzenie Marji Grossek-Koryckiej, że: „Kobiety nie tyle cierpią z winy mężczyzn, co z łaski kobiet", posiada w sobie niezrównanie mniej goryczy, a znacznie więcej zdrowej przestrogi.

Do tej przestrogi baczna obserwacja nasuwa jeszcze dodatkowy komentarz, że kobiety nie tyle zespołowo zwalczają jedne drugie, co same w sobie kultywują pewne „kobiece" właściwości, które linję ich życia wytrącają z szerokiego, ogólnoludzkiego traktu. Wiele się mówi o wrodzonym, czy też sztucznie wypracowanym przez wiekowe tradycje — niewolnictwie kobiet.

Zarówno kobiety, jak mężczyźni, badając ewolucje norm współżycia ludzkiego, usiłują dotrzeć do źródeł owego niewolnictwa. I naświetlają wiecznie żywe zagadnienie, napozór wszechstronnie. Tylko wszyscy, jakby wskutek bezsłownej umowy, pomijają uparcie jedno, zresztą nienajbłahsze źródło przyczynowe.

A tymczasem nurt, z którego bierze swój początek niewolnictwo kobiety, sięga znacznie głębiej, aniżeli wykazuje nam to osławiona supremacja mężczyzny nad kobietą, zdobyta niezawodnie na początku jego przewagą fizyczną, a utrzymana na przestrzeni wieków, zręczną taktyką cichego współporozumienia zwycięzców.

Ktoś, komu tak zwana „sprawa kobieca" nie jest zupełnie obca, kto jest cokolwiek obeznany z całokształtem jej rozwoju i kto zna rozpiętość dzi-

siejszych uprawnień kobiecych — orjentuje się znakomicie w jakim stosunku znajdują się te zdobycze do wysiłku zużytego przez kobiety na ich uzyskanie. I to kobiety nieliczne, odosobnione w swych poczynaniach.

Można uogólnić bez zbytnich obaw o nieszczerość, że kobieta europejska jest równouprawniona. Są pewne zróżniczkowania tego równouprawnienia w poszczególnych krajach, lecz w zasadzie kobieta cieszy się uprawnieniami obywatelskiemi narówni z mężczyzną.

Ma prawo głosowania, prawo do nauki, do pracy, prawo posiadania, stanowienia o sobie i t. p. Tak opiewają paragrafy kodeksu — a co mówi życie?

Oto, że kobieta do aktywnego życia społecznego nie znajduje w sobie woli. Z uprawnień posiadanych nie korzysta, a więc tem samem z nich rezygnuje, gdy np. nie uczestniczy w głosowaniu do parlamentu, czy samorządu; nie zarządza własnym majątkiem, o ile go posiada, wreszcie usuwa się, jakże często, od stanowienia o własnej osobie i własnem życiu w wypadkach t. zw. szczęśliwego małżeńskiego pożycia.

Aby się kobieta wyrwała z tej biernej a wygodnej matrwoty, potrzeba wstrząsu katastrofy, która najczęściej budzi w niej *świadomość potrzeby działania* — ale do samego *sposobu działania* zastaje ją nieprzygotowaną.

Ta tendencja ku stanowi bierności, ta romantyczna „powojowość" kobiety, są pierwszemi śladami, po których należy tropić zdradziecko ukrytego wroga kobiety-człowieka, wroga przyczajonego w niej samej.

Ale tropy te zmyla szybko i przebiegle samo życie, odwracając uwagę opinji ludzkiej ku zgoła innemu zjawisku, — a jest niem skryte, lecz nieustępliwe zwalczanie kobiet przez samych mężczyzn. Dokonywa się ono na płaszczyźnie zbieżnych placówek, na których nagle współzawodnictwo kobiet staje się dla mężczyzn niebezpieczne. Im później przychodzi chwila uświadomienia, tem silniejszy jest odruch reakcji.

Psychologicznie jest to znakomicie zrozumiałe, tylko życiowo nieraz bardzo ciężkie do przetrwania.

A chwyty są dość radykalne.

A więc kobietom obrzydza się przyznane prawo do pracy nieznośnemi warunkami: wyzysku, niedoceniania, lekceważenia. Od kobiet, jako nowicjuszek, wymaga się nieustannego wykazywania cenzusu ich zawodowego przygtowania do pełnienia podjętych obowiązków. Kobietom odmawia się stanowisk, bo są jakoby pozbawione przymiotu współrzędności myślenia na kilku płaszczyznach.

Kobietom płaci się mniej za daną pracę, za którą mężczyzna w tych samych warunkach osiągnąłby znacznie więcej! Bo mężczyzna ma obowiązki; mężczyzna pracuje z istotnej potrzeby — kobieta pracuje dla zaspokojenia chwilowej fantazji(!), dla „zaszczytu" lub wreszcie dla zaspokojenia swych nadmiernie wybujałych, luksusowych wymagań od życia. Okazuje się, że poprzez całą krucjatę kobiet dążących do wyzwolenia — wrogiem niedozwalczenia była p o ń c z o c h a!

„Bas bleu" — niebieska pończocha — tem mianem w sensie obelżywym zwano pierwsze kobiety sięgające po wiedzę! A przecież w tej epoce i inne kobiety, nie uczęszczające na wyższe uczelnie, nosiły kolorowe pończochy. Dziś krzyczy się wszędzie przez megafon, w sejmie, w parlamencie na ulicy, że kobiety pracujące zarabiają... na jedwabne pończochy!

Dlaczego ciągle te pończochy?

Po tej jedwabnej nitce można jednakże dojść do kłębka. Sekowanie pończochą jest znów niczem innem tylko sygnalizowaniem punktu ukrytej w kobietach słabości.

I ta gra obliczona jest na rezonans niezawodny.

Bo czyż kto uwierzy zapewnieniom, że kobieta piękne pończochy nosi wyłącznie dla własnej przyjemności?

Nosi, by zwrócić na siebie uwagę mężczyzny, by mu się podobać! I co gorsza, kobieta robi to odruchowo, podświadomie. I w tem pozornie drobnem zjawisku leży sedno zagadnienia.

Kobieta żyje dla mężczyzny i przez mężczyznę — kobieta nietylko nie umie stworzyć sobie samoistnego życia, lecz nawet nie odczuwa potrzeby zatroszczenia się o to odrębne indywidualne istnienie, o ile jej życie wypełnia po brzegi mężczyzna.

A wypełnienie to może mieć bardzo zróżniczkowane przejawy. Może być równie dobrze niestrudzoną pogonią za upragnionym mężczyzną jak też nieustannym wysiłkiem zachowania na wyłączność już zdobytego mężczyzny.

Jest to niesłychanie zdumiewające, ale wszystkie, nieomal wszystkie poczynania i wysiłki kobiece, od najszczytniejszych i ofiarnych — do najniższych, mogą znaleźć swe źródło energetyczne właśnie w tej sugestywności istnienia kobiety — wyłącznie dla mężczyzny.

Trzeba stwierdzić, że duży wpływ na ukształtowanie w kobiecie tego rodzaju postawy psychicznej do życia, wywarło tendencyjne i planowe wychowanie. Dziesiątki pokoleń dziewcząt wzrastały pod pieczołowitą opieką matek, zaprawiających je w mistycznym kulcie dla nieomylności i powagi ojców, oraz w obrzędowym posłuszeństwie dla nieistniejących jeszcze, lecz przeczuwanych mężów. Ta wielopokoleniowa zaprawa zrobiła swoje.

Dziś kobiety nawskroś samodzielne, głęboko uświadomione w swych prawach i obowiązkach — i ochotnie im sprostające, nie są wolne od atawistycznej skazy psychicznego, a raczej uczuciowego niewolnictwa.

One to — trwające na szturmem zdobytych placówkach samodzielnych; one, stanowiące forpoczty ruchu kobiecego, potrafią w chwili zapamiętania wyrzucić z siebie słowa gorzkie, a jak znamienne: „gdyby *on* do mnie powrócił, a wzamian zażądał bym wyrzekła się wszystkiego, co w okresie mego opuszczenia zbudowałam dla siebie i dziecka — to w jednej chwili rzuciłabym bez namysłu, byle wrócił".

A pokolenie, które nadchodzi?

Dziś młode, w formie zewnętrznej nawskroś nowoczesne dziewczęta, wyznają głośno i otwarcie, że pragną wyjść zamąż(!) — bo bez miłości dla nich pełnia życia nie istnieje. A granice tej domniemanej pełni w dalszym ciągu określa im i wytycza rozpiętość uczuciowego horyzontu ale tylko z ich własnej strony.

To jest groźna i tragiczna dla sprawy kobiecej rzeczywistość.

Bo kobieta lekkomyślnie i nieopatrznie hoduje w samej sobie najzaciętszego swego wroga — niewolniczą powolność wobec dobrowolnie wyniesionego na piedestał mężczyzny. Z tej niewoli psychicznej kobieta musi wyswobodzić się jaknajszybciej — jeśli chce żyć!

A dokonać tego będzie mogła tylko sama, przez obudzoną wolę, aktywną postawę do życia, wiarę w siebie i... przez odważne zepchnięcie mężczyzny ze sztucznego piedestału, do poziomu naturalnych zjawisk życiowych, składających się sumarycznie na całość ludzkiego istnienia.

Tak, rolę kobiety w swem życiu określa mężczyzna. Czyni to bez wahania i z całą konsekwencją — dlatego czuje się silny!

Jeżeli więc kobiety dojrzały już do istotnego, a nie formalistycznego równouprawnienia, to muszą w swej mentalności odbijać realny obraz życia, a nie urojony. I aby to osiągnąć muszą bacznie kontrolować jeszcze przez czas pewien swój celowo i świadomie zniekształcony stosunek do rzeczywistości.

Bo rzeczywistość jest jedna, a tylko nasz pogląd, a co za tem idzie i stosunek do niej, mogą być istotne lub błędne. A przecież odpowiedzialność za popełnione błędy spadnie całym ciężarem wyłącznie na kobiety.

Marja Ankiewiczowa.

OPIEKA NAD MATKĄ I DZIECKIEM

DOM WYCHOWAWCZY im. KS. BODUENA

III.

Trzecim i ostatnim etapem mojej wędrówki, w celu poznania jednego z odcinków opieki nad matką i dzieckiem, jest Dom Wych. im. ks. Boduena.

Duży gmach (jak się później okazuje zaciasny dla potrzeb zakładu) otoczony murem. Przez mały ogród dostaję się do hallu głównego budynku, meldując się uprzednio u szwajcara. Parę biednie ubranych kobiet siedzi na ławkach. Rozmowa toczy się na temat szalejącego kryzysu, redukcji robotników i wojny włosko-abisyńskiej. Woźny, który jest centralną figurą, rozmawiającego towarzystwa, wygłasza filozoficzną uwagę: „że, poco gazy trujące i tak wszyscy umierają. Pan Bóg sam zmniejsza personel światowy". Zaiste, poco gazy trujące?

Po szerokich schodach złażą na czwarakach niebieskie krasnoludki — dwuletnie i trzyletnie dzieci ubrane w niebieskie niedźwiadki. Toczą się po schodach ze wzruszającą nieporadnością. Mniej samodzielne znoszą wychowawczynie na rękach.

W kancelarji asystuję jednej z pań podczas załatwiania interesów. Ktoś chce uzyskać widzenie z dzieckiem ktoś inny chce się za pośrednictwem Zakładu porozumieć ze swoją żoną, z którą się rozszedł, a która porzuciła dziecko: „Niech ona mi tylko odda pieniądze, to ja dzieci wszystkie wezmę do siebie, niechby razem ze mną skonały, ale ich nie oddam! A z nią to się sam nie zobaczę, bo się boję, że ona mnie jeszcze zabije". — mówi dorosły, silny robotnik.

Z niezmąconą cierpliwością i z dużem zrozumieniem sprawy każdego interesanta zostają wysłuchane i prośby w miarę możności załatwiane.

Ostatnie interesantki, to dwie panie dostatnio ubrane. Chcą wziąć jakąś dziewczynkę na wychowanie. Starsza pani ciężko wzdychając opowiada, że córce jej przed rokiem umarło dziecko. „A teraz taka pustka w domu, że aż...".

Panie mają się zgłosić z potrzebnemi dokumentami za parę dni i wtedy wybiorą sobie dziecko, które im się podoba. Już przy drzwiach stojąc, zastrzegają sobie, „żeby tylko dziecko było *okrągłą* sierotą, żeby potem nie było żadnych pretensyj".

Około 130-tu dobrych serc rocznie. To przeciętna cyfra, zgłaszających się aby wziąć dziecko na wychowanie.

Zaczynam właściwy wywiad.

„Zakład im. ks. Boduena istnieje 200 lat, ale naprawdę rozwija szeroką działalność dopiero od lat 3-ch pod nowem kierownictwem. — informuje mnie moja interlokutorka. — Od 3-ch lat jesteśmy stale w okresie zmian i reform, ciągle posuwamy się naprzód „ku lepszemu".

„Jakie dzieci zakład przyjmuje?"

„Przyjmujemy: 1) dzieci porzucone i zabłąkane do lat 4-ch; 2) dzieci karmicielek; 3) dzieci rodziców, przebywających w szpitalu lub więzieniu, umieszczone czasowo; 4) dzieci, potrzebujące opieki, zakwalifikowane przez Miejskie stacje i Wydział Opieki społecznej Zarządu m. st. W-wy; 5) dzieci umieszczone za opłatą przez osoby, lub instytucje prywatne. Do niedawna przyjmowano także t. zw. dzieci „sekretne". Sekret polegał na tem, że oddawano dzieci do Zakładu za pewną jednorazową opłatą nie wyjawiając tajemnicy ich pochodzenia. Często były to dzieci osób wysoko sytuowanych. Obecnie zostało to zniesione".

„Jaka jest przeciętna ilość dzieci w Zakładzie i jaka śmiertelność?"

„Mamy zawsze około 900 dzieci. Jest niesłychanie ciasno. Wskutek tej właśnie ciasnoty zwiększa się śmiertelność, która wynosi około 20% rocznie. W wypadku jakiejść epidemji nie mamy jak odseparować pozostałych, zdrowych dzieci".

Rzędy białych łóżeczek, niskie ławeczki, stoliki i kojce. Oddziały prawie niczem się od siebie nie różnią Zakład ma raczej charakter szpitalny niż wychowawczy. Powietrze przesiąknięte zapachem lekarstw i mokrej bielizny dziecięcej.

„Zakład posiada filję w Klarysewie (informuje mnie pani, która mnie oprowadza po gmachu) — w której znajduje się przeszło 200 dzieci od lat 5-ciu.

„Jaka jest organizacja wychowawcza dzieci?"

„Dzieci, które przybywają do nas dzielimy wg. wieku i wg. wskazówek lekarskich. Obecnie jest 18 grup dzieci z wychowawczyniami. Każda grupa ma swój pokój i zabawki. Praca wychowawcza jest ogromnie utrudniona, gdyż większość czasu musi wychowawczyni poświęcić na ubieranie, rozbieranie, mycie i karmienie kilkudziesięciu dzieci! Czasu na zabawy, spacery i indywidualne kształcenie psychiki dziecka siłą rzeczy zostaje niewiele.

„Czy robiono jednak próby zbadania psychiki dziecka i czy spostrzeżono różnice między rozwojem dziecka w Zakładzie, a dziećmi wychowującemi się w normalnych warunkach?"

„Pracę tę zaczęłyśmy niedawno przy pomocy praktykantek z Instytutu Pedagogicznego. Zbyt jest jednak wcześnie na jakiekolwiek uogólnienie. Tego roku zbadane zostały wszystkie dzieci podejrzane o niedorozwój. Badamy również stale te dzieci, które oddajemy na opiekę. Naogół wszystkie dzieci D. W. B. mówią bardzo źle, 3-letnie, tak jak 1-roczne wychowane w rodzinie".

„Jakie są dalsze losy wychowanków Zakładu?"

„Stworzony w połowie 1933 r. Dział Opieki Przyzakładowej ma na celu utrzymanie kontaktu z rodziną dziecka, odnalezienie jej i umożliwienie zabrania dziecka do siebie. Kierownictwo Zakładu wyszło ze słusznego założenia, że nic nie zastąpi dziecku opieki macierzyńskiej, i że należy raczej pomóc matce, ażeby mogła wziąć dziecko do siebie, niż wychowywać je pod najczulszą opieką ludzi — bądź co bądź — obcych". (Czyż mogą zastąpić ręce najbardziej wykwalifikowanej pielęgniarki — serce matki?).

„A jeżeli nie uda się odnaleźć matki dziecka, co się z niem wtedy dzieje?"

„Albo je ktoś adoptuje, albo po ukończeniu 4-ch lat przechodzą do innych zakładów wychowawczych". „Szaro ubrany tłum, zaledwie chodzących, rozpłakanych maleństw, pakowany po dziesięć do taksówek... robi wrażenie lilipucich niewolników, rekrutów idących na zagładę". Oto, jak Wanda Tarnowska opisuje w swojej broszurze (Warszawa — dziecku opuszczonemu) moment przesyłania dzieci z jednego zakładu do drugiego".

Widok rzeczywiście musi być ponury.

„Jak przedstawia się sprawa matek w Zakładzie?"

„Matki, które są przyjęte do Zakładu (skierowane przez opiekę przyzakładową, matki bezdomne nie posiadające żadnych środków utrzymania) przebywają trzy tygodnie na kwarantannie. Jest to okres wylęgania się wszelkich chorób. Na kwarantannie prowadzą specjaliści wykłady o wychowaniu dziecka, o higjenie i t. d. Po trzech tygodniach zostają skierowane na odpowiednie oddziały. W Zakładzie mają prawo przebywać 6 do 7-miu miesięcy. Wzamian za to, że znajdują opiekę dla siebie i dla dziecka muszą karmić i opiekować się jeszcze dwojgiem lub trojgiem maleństw. Praca, jaką mają do spełnienia jest bardzo ciężka. Przy opuszczaniu Zakładu zmusza się je do zabrania

dziecka ze sobą. Opieka przyzakładowa stara się wtedy wynaleźć pracę zarobkową, udzielić pomocy w wynajęciu mieszkania matkom, które Zakład opuszczają. Jeżeli chodzi o szkolenie matek i przygotowanie ich do walki z życiem pozostaje jeszcze bardzo wiele do zrobienia. Jesteśmy zaledwie w fazie początkowej".

„Czy stworzenie opieki przyzakładowej przyczyniło się wydatnie do zmniejszenia ilości porzuceń dzieci?"

„Tak. W roku 1932 przyjęto do D. W. B. 499 podrzutków, zaś w roku 1933 — 373.

Na tem kończę swój wywiad. Wszystko ma jednak swoje granice. Chciałoby się przez te parę godzin dowiedzieć wszystkiego o dzieciach o matkach i o organizacji Zakładu. Oczywiście jest to niemożliwe. Trzeba się więc zadowolić tą garstką informacyj.

Jeszcze raz zwiedzam niektóre oddziały. Dzieci kończą obiad. Gdy wchodzę zrywa się od stolika mała, ładna dziewczynka; podbiega do mnie i wyciągając rączki, coś niezrozumiale mówi: „To Wikta chce na ręce do Pani" — mówi wychowawczyni. Radosny uśmiech opromienia twarzyczkę Wikty, gdy ją unoszę do góry. Ze wszystkich stołków zrywają się dzieci i otaczają mnie ciasnem kołem. Wszystkie pragną, żebym choć na chwilę je wzięła na ręce. Nie pomaga wołanie wychowawczyni, że kasza stygnie. Dzieci chcą ciepła, chcą mieć choć na chwilę złudzenie, że to matka obejmuje je troskliwemi ramionami. Wychodzę. Za mną rozlega się głośne szlochanie Wikty.

Płacz małej Wikty, porzuconego skrzywdzonego przez los dziecka przemawia dobitnie za kierunkiem, w którym powinna iść opieka nad matką i dzieckiem. Cały wysiłek, tych, którym ta sprawa leży na sercu powinien być skierowany na rozwój opieki przyzakładowej i na stworzenie takich warunków społecznych matce, aby nie była ona zmuszona do porzucania swego dziecka.

M. Różycka.

LEGENDY Z WACHAU

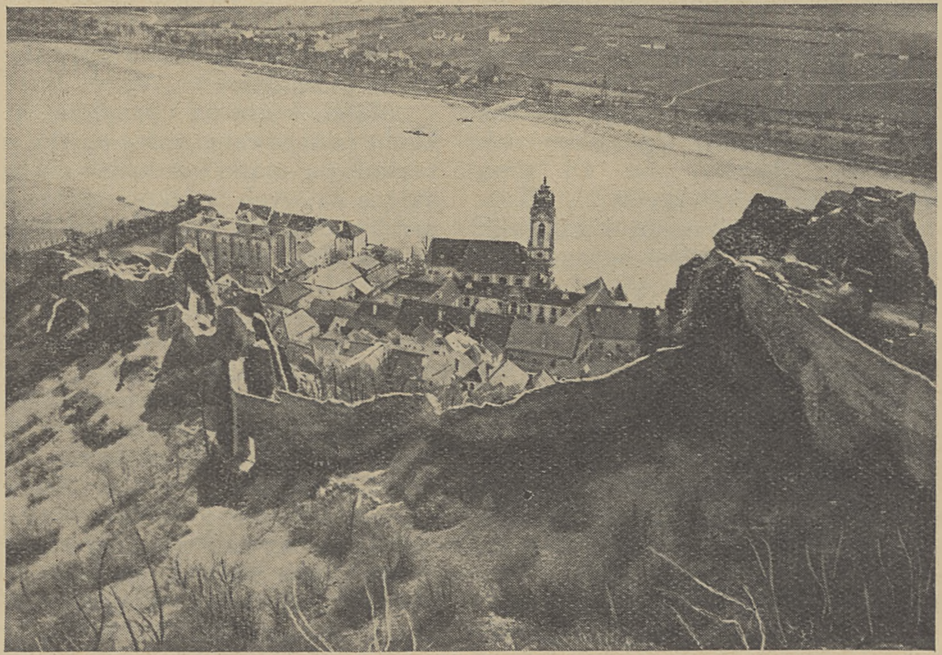


Przed dziesiątkami wieków błękitna wstęga Dunaju natrafiła, w swej wędrówce ku zielonej puszcie węgierskiej, na wielką granitową płaszczyznę, pokrytą lasem. W twardym złomie kamienia wyżłobiła rzeka-rzeźbiarka prześliczną dolinę, zwaną Wachau, ciągnącą się na przestrzeni 35 kilometrów i zaliczającą się bezwątpienia do jednej z najpiękniejszych dolin świata.

Dunaj i Ren! Piękno tych rzek opiewał już w średniowieczu wędrowny bard na dworach niemieckich książąt. Niejednokrotnie czerpała poezja natchnienie z ich błękitnych wód i nad ich brzegami fantazja ludu czy też talent nieznanego autora kazał rozgrywać tajemnicze dzieje bohaterów rycerskiego eposu Nibelungów.

Dolinę Renu, królową rzek niemieckich, oddawna podziwiają już tłumy turystów, tysiące aparatów fotograficznych uwieczniło piękno widoków, a przewodniki wszystkich narodów zgodnie powtarzają nad nią zachwyty i zachęcają do zwiedzania. Tymczasem dolina Wachau pozostała tak, jak przed wiekami „ziemią nieznaną", której urok oczarował tylko nieliczną garstkę turystów. A właśnie teraz na wiosnę w różowym welonie kwitnących drzew brzoskwiniowych czeka Wachau na pierwszą tego roku grupę zwiedzających.

Na straży wąwozu czuwa prześliczne miasteczko Melk słusznie chlubiące się wspaniałym barokowym klasztorem Benedyktynów i bibljoteką obfitującą w stare księgi i zbiory średniowieczne. Dalej wyglądają na wzgórzach, w gęstwinie leśnej ukryte, starodawne mieściny, skarbnice wspomnień i pamiątek, Aggsbach Willendorf, znane z sag i pieśni ludowych Schwallenbach, wreszcie bliźniacze Krms i Stein.



Między niemi rozrzucone wznoszą wysoko w niebo swe wieże zamki rycerskie, prawdziwe pomniki historji: Weitenegg, Schönbühler, Aggstein, Dürnstein i wiele, wiele innych.

Podróżny, który zawitał do perły Wachau do miasteczka Dürnstein, gdy już zwiedził barokowy kościół i klasztor z pięknym podwórzem, gdy

nasłuchał się pieśni w starej oberży i pokrzepił swe siły winem z winnic naddunajskich, zapragnie z pewnością zwiedzić i ruiny zamku, wznoszącego się na górze. Tam usiądzie na kamiennej ławie i, patrząc na migocący w dole srebrem Dunaj, posłucha legendy, którą mu opowie stary przewodnik. Było to tak... W roku 1192 wyruszyła do Jerozolimy trzecia wyprawa krzyżowców, walcząca o największą świętość dla świata chrześcijańskiego, o grób Zbawiciela.

W wyprawie tej wzięli udział władcy wszystkich krajów Europy, a na czele jej stanęli: król francuski Filip August, książę austrjacki Leopold V z rodu Babenbergów i monarcha angielski Ryszard, któremu dla nieposkromionej buty i gwałtowności nadali krzyżowcy przydomek „Lwie Serce".

Szerokiemi potokami lała się krew niewiernych przy zdobywaniu ważnej twierdzy Akkon. Podobno biała szata księcia Leopolda wnet nabrała purpurowej barwy i tylko miejsce, chronione przez pas, pozostało białe. Dlatego też na pamiątkę tej zwycięskiej bitwy herbem księstwa austryjackiego stała się odtąd biała wstęga na czerwonem tle.

Po walce zatknął Leopold na murach twierdzy swój sztandar, ale niedługo powiewała na wietrze chorągiew księcia. Zazdrosny władca Anglji zerwał sztandar austryjacki i rzuciwszy go w błoto, w szale gniewu podeptał go stopami.

Książe Leopold, obrażony w swej dumie, powrócił z wojskiem do Europy, poprzysiągłszy przedtem zemstę Ryszardowi Lwie Serce. Wkrótce potem w powrotnej drodze, podczas okropnej burzy rozbił się na morzu Adrjatyckiem okręt Ryszarda. Król jednak ocalał i w przebraniu pielgrzyma, pieszo wędrował przez księstwo Austryjackie do Anglji. Bogaty pierścień na palcu zdradził pochodzenie rzekomego żebraka, a mściwy Babenberg kazał uwięzić monarchę w jednym ze swoich zamków, w twierdzy Dürnstein, w dolinie Wachau. Dawno już przeboleli i opłakali poddani angielscy stratę swego króla, znosząc ciężkie jarzmo panowania okrutnego, a niedołężnego brata królewskiego Jana. Jeden tylko wierny przyjaciel króla, giermek Blondel, nie uwierzył w śmierć jego w nurtach Adrjatyku. Z lutnią w ręku wędrował Blondel od kraju do kraju zatrzymywał się przed każdym zamkiem rycerskim, śpiewając ulubioną piosenkę monarchy. I tak we włóczędze swej stanął razu jednego w dolinie Wachau u stóp zamku Dürnstein. O dziwo, ledwo przebrzmiała pierwsza strofka piosenki Blondela, rozległ się drżący radością śpiew z wieży zamkowej. To śpiewał uwięziony od 15 miesięcy Ryszard Lwie Serce!

Zawiadomiona przez giermka Anglja pośpieszyła z pomocą, płacąc wielki okup, jakiego zażądał książe Babenberg. Opuszczając okrutne, choć tak piękne więzienie Ryszard Lwie Serce z całą pewnością zaliczał się do tych nielicznych wyjątków, którzy z uroczej doliny Dunaju wynieśli niemiłe wspomnienia.

Inna historja łączy się ze znakomicie utrzymanym zamkiem Aggstein. Tam na szczycie wyniosłej góry w warownej twierdzy mieszkał przed wiekami pewien książe, słynny w całej okolicy „Raubritter". Przy pomocy żelaznych łańcuchów, przeprowadzonych pod wodą, zatrzymywał płynące do miasta statki kupieckie.

Zagrabione towary powiększały skarbiec możnowładcy, a załogę umieszczał w swoim „ogrodzie róż". Niestety, żadne kwiaty nie kwitły w tym „ogrodzie róż". Była to poprostu pusta skała, doczepiona do ścian zamku niby gniazdo jaskółcze, gdzie uwięzionym ludziom pozostawały tylko dwie drogi do wyboru: albo śmierć głodowa, albo samobójczy skok w przepaść, ścielącą się u stóp zamku.

Napróżno cesarz raz po raz wysyłał wojska w celu pochwycenia okrutnego księcia; bezpieczny w swej warownej twierdzy na stromej, niedostępnej górze kpił sobie „Raubritter" z prawa i sprawiedliwości. Aż wreszcie spotkała go zasłużona kara. Wśród więzniów w „ogrodzie róż" znalazł się pewnego razu młody rycerz, który, skacząc w otchłań, zawisł na gałęzi drzewa i w ten sposób uniknął śmierci.

Wkrótce potem znowu okręt kupiecki wpadł w zastawione na Dunaju sidła księcia. Lecz tym razem srodze zawiódł się rycerz-łupieżca. Pod pokładem statku miast klejnotów, złota i drogich materji niespodzianie zabłysły pałasze żołnierzy cesarskich.

Podanie ludowe głosi, że do tej pory błąka się nocami po pustych salach okrutny pan zamku Aggstein, bo krew tylu niewinnych ofiar z „ogrodu róż" nie pozwala mu po śmierci zaznać spokoju. Jednak żaden turysta, nocujący w schronisku, urządzonem obecnie w starem zamczysku, nie spotkał nigdy ducha pokutującego „Raubrittera".

Widocznie zadaniem doliny Wachau jest nie straszyć, lecz czarować podróżnych pięknem krajobrazu, pamiątkami przeszłości i urokiem różowego kwiecia drzew brzoskwiniowych.

Hanna Muszyńska.

William Locke

Uzurpator

Przekład autoryzowany Ludwiki Ciechanowieckiej

Powieść

— Przecie chodzi tylko o głupią setkę — oedzwał się znowu.

Jasper nie odpowiedział. Opadły go wątpliwości. Czy ma prawo odmówić pieniędzy prawemu ich właścicielowi? Ale z drugiej strony, czy warto oddawać się w ręce szantażysty? Po krótkim namyśle, powziął ryzykancką decyzję.

— Dziwię się, że macie odwagę żądać odemnie pieniędzy, na spłacenie długów, zaciągniętych na wyścigach. Nie do staniecie ani grosza.

Burke zbladł.

— Na litość boską, niech mnie pan żałuje. To będzie ostatni raz. Mam okropne kłopoty.

— Nie zmieniam zdania.

Rzekłszy to, pochylił się nad niedokończonym listem i przestał zwracać uwagę na Burke'go. Tamten wyszedł z gabinetu ze zwieszoną głową, ale Jasper był jakoś markotny i odłożywszy pióro zamyślił się nad zaszłym problemem. Po chwili zadzwonił na Cudby'ego.

— Pilnuj Burke'go, Tomie. Wyciągnij go na rozmowę. Wyzna ci zapewne, że odmówiłem mu stu funtów. Zaproponuj, że mu pożyczysz z własnej kieszeni, a ja dopilnuję żeby ci się nie stała krzywda.

— A widzisz, trzeba było dać mu miejsce dozorcy, za trzydzieści szylingów tygodniowo — odparł Cudby — byłby wdzięczny, a my byśmy mieli spokój. Tymczasem jaśnie pan wywęszył jakąś tajemnicę, doszedł do wniosku, że go bardzo cenisz i że wart jest sporo pieniędzy. Nie bój się go — atak był przedwczesny.

— Boję się tylko naszego sumienia — rzekł Jasper.

Przewidywania Jaspera spełniły się — Burke zwrócił się o pożyczkę do Cudby'ego. Cudby przechylił ptasim ruchem okrągłą głowę i popatrzał nań sponad okularów.

— Dlaczego nie pójdziesz do szefa? — zapytał z głupia frant.

Burke odfuknął, że już to uczynił. Cudby wyraził zdumienie. A możeby spróbować raz jeszcze... Szef rzadko kiedy odmawia potrzebującym...

— Tak, ale jak się uprze, to sprawa skończona — zauważył Burke.

Wkońcu Cudby zgodził się pożyczyć Burke'mu sto funtów. Na tem zakończył się przykry incydent.

Oczywiście Burke nigdy nie zwrócił długu, zmienił jednak postępowanie i nawet zabrał się do pracy ze zdwojoną energją. Pomimo to pozwalał sobie niekiedy na wybryki, które sprawiały kłopot jego dobrodziejowi.

Pewnej nocy zastał Jasper Burke'go w jadalni. Stał przy wielkiej ogniotrwałej szafie i coś tam majstrował, a że był odwrócony plecami do drzwi, więc nie zauważył wchodzącego Jaspera. Gdy go ujrzał, odskoczył na bok. Jasper obrzucił go podejrzliwem spojrzeniem i zapytał, co robi o tej porze w jego prywatnem mieszkaniu. Burke rychło ochłonął z wrażenia i pokazał Jesperowi butelkę whisky stojącą na szafie.

— Myślę, że mi pan nie pożałuje trochę whisky. Mam rzetelne pragnienie.

— Możecie trzymać wódkę w swoim pokoju — zauważył Jasper.

— Kidy ja dałem sobie słowo, że przestanę pić...

Burke nie kłamał, od szeregu dni zadziwiał wszystkich wstrzemięźliwością.

— W każdym razie nie wolno myszkować po cudzych szafach.

— E, pan chyba nie wie, co to znaczy, jak człowiekowi zapachnie wódka... Trudno walczyć z taką pokusą.

Słowa jego tchnęły szczerością, to też Jasper odrazu zmiękł i poczuł litość dla słabego człowieka, który przecież usiłuje ujarzmić swe namiętności. Że mu się to nie udaje, to nie jego wina.

Wślad za współczuciem przyszła troska, o los zdetronizowanego władcy. Cóż z tego, że ma zapewniony byt i dach nad głową, jeżeli nikt nie dba, o dobro jego duszy. Jasper uświadomił sobie ze skruchą, że pod tym względem nic nie uczynił dla Burke'go. Prawowity właściciel miljonów wiedzie marną, bezcelową egzystencję, jest samotnikiem pozbawionym przyjaciół, wystawionym na próby i pokusy.

Jasper napełnił fajkę tytoniem i podał ją Burke'mu.

— Usiądźmy na chwilę — rzekł łagodnie.

Burke posłusznie usadowił się na krześle, zerkając na Jaspera, jak psotny chłopiec, któremu znienawidzony wychowawca każe słuchać nudnej perory.

Był znowu czujny i nieszczery, na pytania odpowiadał półsłówkami, szorstko lecz pokornie. Serce jego kryło widocznie jakąś niesamowitą tajemnicę, do której Jasper nie miał dostępu.

Nigdy nie udało mu się obudzić w ponurym gościu struny uczucia. Wszelkie wysiłki spełzły naniczem, od chwili spotkania w jego gabinecie, złodniały, podejrzany tramp zachowywał wobec Jaspera pozycję defensywną, maskując pokornym uśmiechem nienawiść do swego zbawcy. Jak zły pies gryzł rękę, która go karmiła. — On cię nienawidzi — mawiał nieraz Cudby — chętnieby zadźgał cię rzeźnickim nożem...

Ostatnia rozmowa toczyła się na obojętne tematy. Jasper nie wspominał już o niewłaściwem zachowaniu się natręta, zapomniał o nim podobnie, jak o niedawnym wyczynie pijaka, którego musiał zbierać w hallu własnego mieszkania. *(D. c. n.)*

KOMPLEKS Nr. pat. 9999

NOWELA

Posiadał zaciętość ludzi, którym powodziło się źle i dobrze. Nie zmiejszył produkcji sprzętu opatrzonego numerem patentowym 9999. Nie zmniejszył liczby robotników. Chwilami zdawało mu się, że wszystko musi być tak, jak było. Ale jednocześnie czuł, że jest to przyzwyczajenie mózgu do pewnych kanonów.

Tymczasem ciągle te same ilości patentowanych lusterek opuszczały zakłady baxterowskie. Na niklowych podstawkach lusterek były, oprócz numeru patentu jeszcze cztery cyfry. I to było najgorsze. Te cztery cyfry oznaczały rok produkcji. Oczywiście każdy nabywca pragnął kupić lusterko z ostatniego roku. Stare zapasy zostawały. I — paradoksalna rzecz, o której się słyszy częściej z tamtej strony oceanu zdarzyła się i tu, w Winsbourgh. Jonathan Baxter rozkazał niszczyć stare patentowane lusterka. Aby nie przeszkadzały nowym.

Kiedy się na to zdecydował, napłynęła mu w uszy melodja prześladująca go od lat: „daleko stąd do Tipperary". Cała scena u Browna pełna blasków i cieni znów była przed jego oczami. Tak: to, co teraz czyni i to, co się zdarzyło wtedy, ach, Boże, jakże cudaczny jest świat.

Praca w zakładach szła dalej. Ale Jonathan Baxter słyszał w stuku maszyn niekiedy, jakby zgrzyty. Wiedział: część tych małych szybek pokryta amalgamatem przeznaczona jest na zatratę. Te, których nikt nie kupi, i które znajdą się w winsbourghskim wąwozie, aby w ogniu roztopić się, skurczyć i skręcić w nonsensowy splot drutów i sople stopionego szkła.

Noce Jonathana Baxtera stały się tak niespokojne, że parę razy myślał już o poradzeniu się doktora. Serce Jonathana Baxtera tłukło w nocy tak, że utrudniało oddech. Nieraz też czuł wśród dnia niemiłą duszność i kołatanie między żebrami nierówne i dręczące. Była to zepewne też i wina snów. Snów, w których nieodmiennie zjawiała się winiarnia starego Browna, klekocąca piosenka pianoli i uśmiech Magdaleny odsłaniający mokre, białe zęby. Jonathan Baxter czuł przez sen dziwną tęsknotę powrotu do tej chwili. Chciał wrócić, tak, chciał wrócić do hołockiego towarzystwa Jacka, którego, tak na trzeźwo, napewnoby nie przyjął choćby ze względu na żonę, Magdaleny o wąskiej twarzy łasicy i zaraźliwym śmiechu. Chciał wrócić do poranku w winiarni, jak do momentu zwrotnego w życiu, od którego się zaczęło wszystko zależne od sprzętu nr. pat. 9999. W dzień można było uciec od tych myśli. Ale noc była udręką. To tylko było pewne: noc rozszerzała kompleks sprzętu nr. pat. 9999 o niepokojące elementy, które nie dały się wliczyć, ani w koszta produkcji, ani w zyski, ani w straty. A to też było niepokojem.

— — — — — — —

Wiosna. Jonathan Baxter chodzi po ścieżkach swego ogrodu. Słońce pada na trawnik i jego świeża zieleń ciągnie oczy. Bez kwitnie i w krzakach słychać ptasi rozgwar. Od pobliskiej rzeki dobiega odgłos pieśni Amatorów Faszyzmu. Płynie stamtąd, ze sprzedanej Lorelay. Ach, nie! z Awangardy.

Jonathan Baxter przystanął przy żywopłocie. Tak: oto koniec. Zakładom baxterowskim grozi ruina. Ruina zakładów wygna jego żonę, długonogą rozpuszczoną Phylis i jego z pięknego domu, z ogrodu pełnego ptasich głosów. Niema co się łudzić. Kompleks patentu nr. 9999 jest w gruncie rzeczy rozpaczliwie prosty: pomysł, rozwój, zyski, kryzys, ruina.

— Trzyk! — zawołał szpak i usiadł na drzewie. Jonathan Baxter uśmiechnął się do ptaka. Usiadł na białej ławce i zamyślił się. Ciężkie gałęzie bzu zwisały nad nim i pachniały mocno. Pod ich cieniem siedział stary człowiek chory od znużenia.

Trzyk! Trzyk! — krzyczał szpak. Zeskoczył z gałęzi i zachwiał bzem. Wilgotna rosa, pachnąca zimnemi kwiatami spadła na twarz Jonathana Baxtera. Starszy pan uczuł rzeźwy chłód na skroniach i w tej chwili zdał sobie sprawę, że za wszelką cenę musi wyjść na winsbourghską drogę i musi pójść w stronę małych domków zarzecznego przedmieścia o ogródkach przeładowanych bzami, wysypujących całe naręcze bzu za koślawe płoty. Tam, w tych stronach była kiedyś winiarnia starego Browna.

Jonathan Baxter idzie wąską drogą. Minął most na niebieskiej od pogody rzece. Wszedł między małe domki. Koza z białemi koźlętami odgryzała spokojnie resztki kory z mizernego drzewka. Na widok Jonathana uciekła becząc. Za nią koźlęta łącząc w skokach wszystkie cztery kopytka.

Jonathan Baxter szedł uśmiechnięty. Wydało mu się, że wreszcie rozprężyło mu się w piersiach, tam, koło serca. Na szczupłych policzkach czuł świeży powiew. Pachniały mocno bzy, których było tu tyle. Wtedy posłyszał głos katarynki:

„...daleko stąd do Tipperary".

Jonathan przystanął i serce zabiło mu znów zbyt mocno. Wyobraził sobie nagle, że oto znalazł się znów, jak wtedy, przed laty, w winiarni Browna na jakiemś dziwnem rozdrożu. Że mógłby wybrać. Wyrzucić poza siebie kompleks nr. pat. 9999. Pozostać tu, z tej strony rzeki, nie przejść już nigdy mostem na drugi brzeg, gdzie stoją białe domy „bogatych". Zostać tu, skąd pochodził kolega Jack i śniada Magdalena ze zbitem lusterkiem w ręce.

Jonathan Baxter czuł, że drży. Skręcił w bok, na małą, żółtą od piachu ścieżkę. Zniknęły już domki o krzywych parkanach z trudem utrzymujących ciężkie krzaki bzu, a Jonathan Baxter szedł ciągle. Zdyszany zatrzymał się wreszcie. Stał na szczycie piaszczystego usypiska. Spojrzał w dół i zobaczył rumowisko drutów, potopionych szkieł — cmentarz baxterowskich luster.

Stał oparty na lasce i patrzył długo. Dyszał i czuł, że oczy powleka mu dziwna wilgoć. Otarł je i wtedy dopiero pojął zdziwiony, że zapłakał. Kompleks patentu nr. pat. 9999 znowu znalazł się na płaszczyźnie tamtych spraw: muzyki starej pianoli, lampek czerwonych od wina, blasku tańczącego po ścianach, śmiechu Magdaleny i łez.

Stary człowiek stał na wzgórzu wysoki, dziwacznie, pochylony, jak żóraw z bajki. Gdyby go ujrzał któryś z dowcipnisiów z „Nowin", niechybnie gazeta ta wzbogaciłaby się jeszcze o jedną krotochwilną podobiznę Jonathana Baxtera. Ale nie było tu żadnego z nich. Nie znaczy to jednak by Jonathan Baxter był na winsbourghskiem wzgórzu sam. Z za chuderlawego krzaka śledziły go oczy bronzowe, jak kasztany. Ciekawe i życzliwe, jak oczy zwierzęcia: oczy dziecka.

Po chwili Jonathan Baxter drgnął. Jakaś mała dłoń szarpnęła go za połę od ubrania. Spojrzał wdół i zobaczył na wysokości mniej więcej swoich kolan głowę w złotawych krążkach dziwacznie poskręcanych włosów. Ręka, która trzymała jego ubranie była brudna, mała i silna. Odcisk tych palców zostawi napewno ślad na pięknem ubraniu Jonathana Baxtera. Ale to nie rozgniewało go dzisiaj, choć był bardzo schludny.

Bronzowe oczy dziecka ufnie patrzyły mu w twarz. Usta miękkie o maluchnym dołku w dolnej wardze poruszyły się.

— Czy szukasz lusterek? Spytało dziecko.

— Lusterek? — Jonathan Baxter pochylił się ku małej. Śmierdziała cebulą i przypalonem mlekiem. Była niewątpliwie brudna. Ale jej bronzo-



we oczy były piękniejsze nad wszystko, a drobna ręka mięła ciągle jego marynarkę.

— Lusterek. Tu ich jest dużo. Tych co nie zdążyły się spalić. Zbieramy je. Maud, Tina i ja.

Sally Robinsohn urządza z nich nawet sklep. Taki dla lalek. Wiesz? Ale odkąd chłopcy o tem się dowiedzieli, zabierają wszystkie i trudno jest coś znaleźć. Niema się prawie czem bawić!.

— Bawić? — spytał znowu Jonathan Baxter. Schylił się niżej jeszcze i oparł na lasce, choć było mu niewygodnie uczuł przykry ruch po lewej stronie piersi.

— Bawić? — powtórzył.

Tak. Bawimy się. Salomeja, Maud i ja. Może to być ślizgawka dla lalek. O — tak.

Wyjęła z kieszonki fartuszka baxterowskie lusterko, pozbawione zasadniczych części patentu nr. 9999, lampki i ruchomej podstawki. To jednak widać nie przeszkadzało niczemu. Położyła je na rzadkiej trawie porastającej górą usypisko. Z drugiej kieszeni wyjęła małą lalkę o miękkich nogach z gałganów. Zaczęła ją prowadzić lekkim, dziwacznym ruchem po lusterku systemu Jonathama Baxtera. Nuciła przytem: „A... a... a...", jak bzykająca na szybie muszka. To było najpiękniejsze.

Stary pan przysiadł na piasku. Przed nim leżało rumowisko — rezultat ostatnich lat pracy zakładów baxterowskich. Wiatr powiał od rzeki. Jonathan Baxter zdjął kapelusz. Wiatr poruszył jego rzadkiemi, siwemi włosami.

„A,,, a... a..." — mruczała mała.

Nagle podniosła głowę.

— Podoba ci się ta zabawa?

— Tak. — odpowiedział siwy człowiek. A potem dodał niewiadomo — do niej, czy do siebie.

— To może najlepsze, co można zrobić z tych lusterek.

— O, nie! — Krzyknęła mała. Jeszcze ładniej można w nie strzelać! Tylko, że się je wtedy psuje. Ale to nic: pokażę ci. Jutro może znów przywiozą więcej na spalenie.

— Może znów przywiozą — powtórzył Jonathan Baxter.

Dziewczynka postawiła lusterko wbijając jeden jego brzeg w ziemię.

— A teraz odejdź — powiedziała trącając Baxtera małą pięścią w brzuch. Jonathan Baxter cofnął się posłusznie.

— Weź kamień! — krzyknęła mała.

Jonathan Baxter wziął kamień.

— A teraz — buch

— Buch! — odkrzyknął Jonathan Baxter i trzasnął kamieniem w sam środek lusterka. Posypały się kawałki szkła, błyszcząc w słońcu, jak złoto.

— Doskonale! — ucieszyła się mała

— Doskonale — ucieszył się Jonathan Baxter.

To, co potem nastąpiło mogłoby się wydać dziwne każdemu, ktoby przechodził winsbourghskiemi wzgórzami. Jonathan Baxter wspinał się z małą oberwaną dziewczynką po usypiskach, wyszukując uratowanych od spalenia luster z numerem 9999.

Potem rzucał w nie kamieniami.

— Bach! — wołała ze śmiechem mała brudna dziewczynka.

Bach! — śmiał się Jonathan Baxter. Pod uderzeniami kamieni lusterka baxterowskie rozpadały się w drobne strzępki złotawego od słońca szkła.

— Zmęczyłeś się?—spytała wreszcie mała.

Tak: Jonathan Baxter zmęczył się i zadyszał. Położył rękę na złotych, brudnych włosach małej.

— Jak się nazywasz?

— Rosemary.

Jonathan Baxter wyjął z kieszeni pieniądz.

— Masz.

Mała podskoczyła, jak małpka.

— Dziękuję ci, dobry panie!

Śpiewając zbiegła wdół między usypiska. Widział zgóry jej drobną pięść, którą mu kiwała na pożegnanie, podobną do małego ciemnego owocu. Słońce chyliło się za rzekę i piaski winsbourghskie poróżowiały.

Spojrzał na zegarek. Ileż czasu był poza miastem. Jakże mógł tak zagubić, zatracić cały dzień! Jakób i inni czekają z korespondencją. Westchnął. Kompleks nr. pat. 9999 ma to samo miejsce. Jakże djablo smutne i niewygodne.

Ostrożnie, drobnym starczym krokiem jął schodzić ku miastu. Potknął się o coś, co teraz przy zachodzie lśniło, jak rubiny. O szczątki lusterka, które stłukł razem z Rosemary kamieniem: Wtedy wypłynęła mu znów przed oczy, jak wiecznie błądząca po Bóg wie jakich falach koło niego łódź—winiarnia starego Browna i wydało mu się, że oto dziś przeżył koniec tamtej chwili: tamtej przy porytym nożami, oblanym słońcem stole i tej — na usypisku winsbourghskiem.

Skręcił między domy przedmieść. Bez pachniał jeszcze mocniej. Ktoś śpiewał piosenkę o samotnem sercu i miłości.

Rzeka szumiała. Łódź „Awangarda" stała przy przystani Amatorów Faszyzmu. Niebo ciemniało. Za rzeką bielał wśród drzew jego piękny dom. Okno Phylis świeciło. Jakiś cień o kształtach wybitnie sportowych antycznym gestem opierał się o przystań Amatorów. Jonathan Baxter zauważył, że cień ten pochyla się jakby w stronę okna jego córki. Przemianowana na „Awangardę"— Lorelay zachybotała się lekko. Księżyc ukazał się nad tym fragmentem kompleksu luster Baxtera.

Jonathan Baxter poczuł się bardzo stary. Obejrzał się za siebie. Nad przedmieściem chmury posrebrzały od księżyca. Pomyślał o małej Rosemary, która dostała dziś — niewiadomo czemu — suty datek, o niewidzianej od tak dawna Magdalenie, Jacku, śmiechu, który odsłania piękne zęby, sercu, które bije od radości i trosk. Podniósł głowę. Niebo było pełne miękkiego puszystego szafiru. Westchnął. Wydało mu się, że kompleks patentu nr. 9999 sięga do gwiazd.

H. Januszewska.

OKNO NA ŚWIAT

Speakerka telewizyjna

Stacje telewizyjne w Ameryce poszukują odpowiednich speakerek które muszą mieć nietylko radjofoniczne głosy, ale i... radjofoniczne twarze!

Od speakerki nie wymagana jest piękność. Musi ona posiadać twarz t. zw. kontrastową, t. j. mieć rysy wyraźne, dość ostro zarysowane.

Pozatem speakerka musi się odpowiednio charakteryzować. A więc brwi i rzęsy czarne, powieki zielone, wargi brunatne, skrzydła nosa jaskrawo żółte i policzki kredowo białe. Gdyby taka „piękność" przejrzała się w lustrze, przestraszyłaby się sama siebie. Ale w ekraniku umieszczonym nad aparatem radjowym, wydaje się radjosłuchaczom naprawdę miła i powabna!

Odpowiednią speakerkę znaleźć bardzo trudno. To też nieliczne kobiety, odpowiadające wszystkim wymogom stacyj telewizyjnych, opłacane są iście po amerykańsku.

Żeby zaś zabezpieczyć się przed ich ewentualnem zamążpójściem, związanem z możliwością rzucenia posady, stacje telewizyjne stawiają jedyny warunek kandydatkom na speakerki: muszą być zamężne!

Najbardziej ceniona i najlepiej opłacana speakerka w New Yorku jest p. Giene Trager. Trager wydaje się nietylko piękna na ekraniku telewizyjnym, lecz jest bardzo przystojna w życiu. To też cieszy się dużem powodzeniem. Ale stacje telewizyjne nie lękają się stracić najlepszej speakerki. Jest przecież mężatką! I do tego zakochaną w swoim mężu!

Drogi wyzwolenia kobiety

Stara legenda grecka głosi, że mityczny Krykrops, założyciel Aten kazał zebrać się obywatelom, aby głosowali komu oddać miasto pod opiekę: Atenie czy Apollinowi. Mężczyźni głosowali na Atenę. Kobiety na Apollina. Zwyciężył bóg miłości i pokoju, bo głosów kobiet było przypadkowo o jeden więcej. Lecz rozgniewana Atene postanowiła się zemścić. Tak długo pustoszyła miasto aż aby ją przebłagać, mężczyźni odebrali kobietom prawo głosowania.

Minęły wieki. W zapomnienie poszły wieże dla niewiernych żon niewola jednak pozostała ta sama. Uczono kobietę, że posłuszeństwo mężczyźnie— to największa cnota!

I wreszcie przyszedł rok 1792 Marja Wollstonecraft opublikowała „Revendication des Droits des Femmes", owoc tchnienia rewolucji francuskiej.

A potem zdobycze nastąpiły stosunkowo prędko. W r. 1895 kobiety uzyskały prawo głosowania w Zachodniej Zelandji. W r. 1905 w Genewie. W r. 1907 w Finlandji i Norwegji. W 1913 w Szwecji. W 1919 w Niemczech. W rok później w Stanach Zjednoczonych. W 1921 w Polsce. W 1929 w Anglji. Francja znajduje się w przededniu udzielenia głosowania kobietom.

Ale kobiety uzyskały nietylko prawo głosowania w parlamentach. Pozwolono im myśleć, działać, przekonano się, że niedawne „anioły" i „niewinne lilje" mają mózgi i muskuły, że mają wolę i cierpliwość.

Nazwiska kobiet pojawiły się na wielkiej szachownicy świata.

Zaledwie 138 lat minęło od opublikowania dzieła Marji Wollstonecraft, po którem kobiety mogły się poszczycić pierwszem swojem zwycięstwem, prawem dziedziczenia!

Kobiety strażniczkami bezpieczeństwa publicznego

Gdy nasze policjantki po raz pierwszy przywdziały granatowe mundury i wyszły na ulicę, Warszawa przywitała je śmiechem i drwinami.

— To nie jest odpowiednie zajęcie dla kobiet — twierdzono.

— Nikt nie przelęknie się takiej „pani władzy" — żartowano.

A granatowe dziewczęta, nie zwracając uwagi na nieraz uszczypliwe uwagi, kroczyły żmudną drogą obowiązku, budząc początkowo tylko zaciekawienie, które stopniowo zmieniało się w podziw i szacunek, nietylko w kraju, lecz i zagranicą.

Zaledwie pół roku minęło od „narodzin" policjantki, a już zbiera ona owoce swej pracy. Ostatnio powierzono jej odpowiedzialną funkcję oskarżyciela publicznego w Sądzie dla Nieletnich.

Nie od rzeczy będzie w tem miejscu wspomnieć o osobliwem mieście w Anglji, Lawfordzie, gdzie cała władza miejska koncentruje się w rękach kobiet. Począwszy od burmistrza, a kończąc na woźnym magistrackim, wszystkie urzędy miejskie obsadzone są przez kobiety. Policji zaś Lawford zupełnie nie posiada. Ani męskiej, ani kobiecej.

Nietylko zresztą w Lawford odpowiedzialne urzędy zajęły kobiety. We wsi Robakowo na Kaszubach, rada gromadzka wybrała bezwzględną większością głosów Marję Bertrandt, znaną ze swej energji i dzielności, na stanowisko sołtysa.

Czyż nie jest to najlepszym dowodem, że kobieta potrafi pracować na każdem polu na równi z mężczyzną?

Statystyka długowieczności kobiet

Niezmiernie ciekawe porównanie przeprowadziły niedawno gazety angielskie. Otóż według ostatnio sporządzonej statystyki, największa śmiertelność panuje wśród wdów. Drugie miejsce zajmują stare panny, a najdłużej żyją mężatki. Jednak wiek, który osiągają kobiety bez względu na swoje specjalne położenie, znacznie się przedłużył w ostatnich dwudziestu latach.

Łatwo zrozumieć, że ludzie wogóle żyją teraz dłużej niż dawniej. Rozwój sportów, przebywanie na świeżem powietrzu, racjonalne odżywianie oddziaływują dodatnio na zdrowie ludzkie.

Ale czem wytłomaczyć, że mężatki żyją dłużej niż kobiety samotne? Czyżby obecność mężczyzny wywierała tak dobroczynny wpływ na kobietę?

A czy przeprowadzono również statystykę długowieczności kobiet, nieszczęśliwych w małżeństwie?

Pozazdrościć można krajowi, który w obecnych czasach może się zajmować tak „ważnemi" zagadnieniami!

Tragiczna śmierć dwu pilotek sowieckich

Sport spadochroniarski, który od pewnego czasu stał się niezwykle modny w Sowietach, spowodował niedawno wstrząsającą katastrofę, której ofiarą padły dwie młode pilotki, Luba Berlin i Tamara Iwanowa.

Nazwiska obu pilotek były dobrze znane w sowieckich sferach lotniczych. Obdarzone niezwykłą odwagą, młode dziewczęta należały do elity spadochroniarskiej i drwiły z niebezpieczeństwa, czując się zupełnie pewne i bezpieczne w powietrzu. Luba Berlin dokonała już 49 skoków ze spadochronem. Tamara Iwanowa 46.

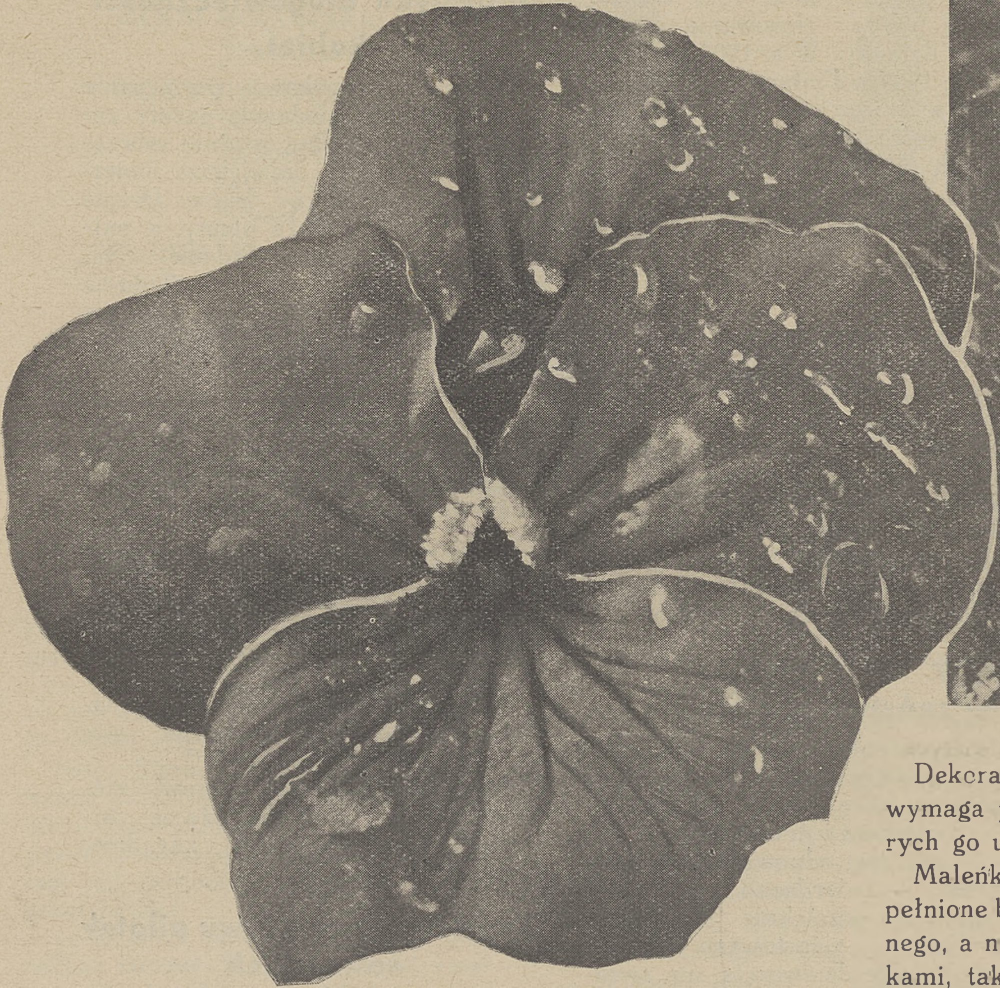
Dnia 26 marca, podczas ćwiczeń na lotnisku, dokonywanych na wysokości 2 000 mtr., postanowiły zademonstrować niezwykle ryzykowny skok ze spadochronem. Polegał on na tem, że skoczek leci z zamkniętym spadochronem i otwiera go dopiero w otsatniej chwili, znajdując się na wysokości zaledwie 300 mtr. nad ziemią.

Ale sowieckim pilotkom nie wystarczał ryzykowny skok. Postanowiły pobić rekord. Otworzyły zbyt późno spadochron i zginęły na miejscu.

Katastrofa wywołała wstrząsające wrażenie w Moskwie.

Argus.

ZWIASTUNY WIOSNY





Dekoracyjny zarówno w ogrodzie, jak i w wazonie wymaga jednak umiejętnego doboru wazonów, w których go układamy.

Maleńkie, niskie, o szerokich szyjkach wazoniki napełnione bratkami to prześliczna dekoracja stołu jadalnego, a niska, szeroka, szklana waza napełniona bratkami, tak, jak to wskazuje ilustracja, zdaje się być

Bratek, jak wiemy, zakwita wiosną. I to nietylko na kwietnikach, które obsadzamy wspaniałemi odmianami bratków ogrodowych, ale i na polach, na łąkach, miedzach przydrożnych i burtach rowów.

Bratek dziko rosnący bywa zbierany masowo, suszony i stosowany w lecznictwie — ogrodowy mieniący się aksamitnemi barwami dochodzi na podstawie ciągłego ulepszania gatunku, do rozmiarów imponujących i stanowi podstawę wiosennej dekoracji naszych ogrodów.



dzięki swej szlachetnej prostocie, dekoracją stworzoną dla nowoczesnego wnętrza.

Bratków ciętych nie należy układać w wazonach barwnych, o masywnych, ciężkich majolikowych ściankach. Szkło opalizujące, szkło w kolorze naturalnym, lub pastelowym tonie jest jakby stworzonem tłem dla przepychu barw i aksamitnego połysku bratków.

Pojedyńczy kwiat wielkokwiatowej odmiany bratków to jedna z piękniejszych butonier odcinających się wyraźnie, a jednak dyskretnie od tła zarówno jasnego, jak i ciemnego okrycia, lub kostiumu spacerowego pani.



Bratki są nietylko wspaniale dekoracyjne, ale nadwyraz łatwe w hodowli. Jako rośliny dwuletnie wymagają siewu na zagonkach, z których przenosimy je dopiero na miejsce stałe.

Prawidłowy siew powinien być wykonany w drugiej połowie lipca. Chcąc utrzymać silne sadzonki przerywamy je tak, aby pomiędzy jedną, a drugą zostało parę cm. wolnego miejsca, co ułatwia silne ukorzenienie. Dobrze ukorzenione sadzonki należy przesadzić i pozostawić je tak, aż do późnej jesieni, czyszcząc z chwastów i spulchniając ziemię. Dopiero po opróżnieniu grząd i kwietników z okwitłych roślin przychodzi pora przeniesienia bratków na miejsce stałe, na miejsce, na którem zakwitną wiosną.

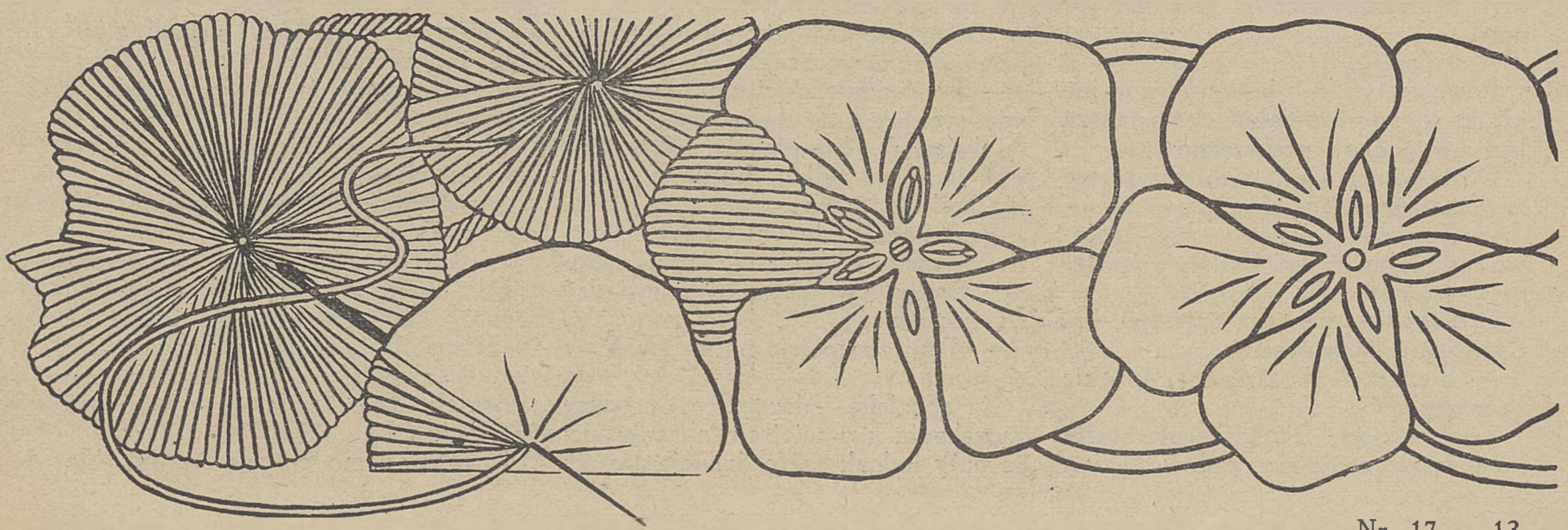
Ziemię na takim kwietniku, czy kwiatowej grzędzie, należy przekopać głęboko, użyźnić przegniłym obornikiem, przekopać z nim powtórnie, ale już zupełnie płytko i pozostawić niezagrabioną możliwie najdłużej. Dopiero gdy zachodzi obawa przymrozków, wygładzamy powierzchnię grabiami i obsadzamy ją sadzonkami bratków.

W razie gdyby mórz ściął przedwcześnie ziemię i uniemożliwił obsadzenie jej jesienią, pozostawiamy powierzchnię niezagrabioną, aż do wiosny i bardzo wcześnie, skoro tylko ziemia obciągnie, wysadzamy bratki na miejsce stałe.

Wiosenna pielęgnacja polega na oczyszczaniu ziemi z chwastów, spulchnianiu jej i obfitem polewaniu w razie suszy.

Bratki kwitną pięknie, aż do upałów, wtedy usuwamy je z rabat, lub klombów i zastępujemy później kwitnącemi roślinami. Bratek daje piękne, dorodne kwiaty tylko w drugim roku wegetacyjnym, to też okwitłych roślin nie warto już przechowywać.

Na zakończenie warto jeszcze wspomnieć nie o żywym bratku, a o haftowanym lub malowanym, który oddaje też pierwszorzędne usługi sztuce dekoracyjnej, czego najlepszym dowodem będzie prześliczny pasek zastosowany do letniej sukienki, zdobiony barwnemi bratkami haftowanemi włóczką na miękkiej skórce zamszowej. *Joanna.*



Z TEATRÓW

Lekkie komedje angielskie przypominają do złudzenia angielskie powieści dla dorastających dziewcząt. Są zawsze „dla młodzieży dozwolone", w miarę romantyczne i zbudowane na ogólnie znanych szablonach. „Pierwsza rola Jenny" Ellisa, grana obecnie w teatrze Letnim, odznacza się jeszcze tem, że szablony jej były już używane za króla Ćwieczka. Zła baba z podstarzałą córką maltretują młode i piękne dziewczę, które w trzecim akcie wychodzi zamąż za bogatego lorda — tak oto wygląda fabuła tej zresztą zupełnie miłej sztuki, którą można obejrzeć, tylko nie można jej brać poważnie.

Jest w „Pierwszej roli Jenny" kilka dobrych sytuacyj, które byłyby wręcz świetne, gdyby podtrzymywał je dobry djalog. Djalog Ellisa niema lekkości i dowcipu i to jest największy brak sztuki, a jedyną ozdobą — gra Znicza, który właściwie dźwiga na swoich barkach całe powodzenie sztuki. Tak jest, Znicz, a nie Romanówna, która, chwyciwszy od początku nutę fałszywej minoderji, nie porzuca jej, aż do ostatniej „kwestji" w ostatnim akcie.

„Rodzina Massoubre". Devala, grana obecnie w teatrze Polskim, jest wielkiem nieporozumieniem między autorem a publicznością. Publiczność oczekiwała doskonałej komedji w rodzaju Mademoiselle i „Towariszcza", a autor uczęstował ją sztuką-solitrem, która głową tkwi w mieszczańskim dramacie z 19 wieku a ogonem w naiwnym symbolizmie. To jeszcze nie wszystko. Sztuka niema właściwie treści, bo historja kilku pokoleń Massoubrów jest pokazana bardzo powierzchownie, nieomal schematycznie, a życie prawnuka różni się od życia pradziadka, jedynie stylem wnętrza i modą kobiecą.

Na przestrzeni lat od roku 1873 do roku 1935 burżuazja francuska (według Devala) nie zmieniła ani na jotę swojej mentalności. Za murami jej domu kilkakrotnie przewaliła się burza dziejowa, zmieniło się oblicze Europy, zmieniło się oblicze świata; rodzina Massoubre (ciągle według Devala) stoi na miejscu, to znaczy kobiety rodzą dzieci, a mężczyźni robią majątek i romansują z kim popadnie. Jedyną zmianą jest może to, że gdy ojciec żyje ze służącą syn czyni to samo z manikiurzystką. Ach, prawda, jeszcze samochód zamiast powozu i telefon. To wszystko.

Płytkie to i bardzo niepotrzebne sztuczydło okrasił swym wielkim talentem Junosza-Stępowski. Dla niego jednego warto pójść. Reszta grała na poziomie. Dekoracje — (moment ważny, signum zmiany pokoleń!) doskonałe.

To, czego brakuje „Rodzinie Massoubre" posiada w dużej mierze sztuka Grzymały - Siedleckiego p. t. „Spadkobiercy". Powstał koło niej krzyk, że jest niemoralna, że pokazuje brzydki stosunek dworu do wsi i naodwrót. Wszystko to jest słuszne, ale jest przez to prawdziwe, a zło jej nie leży w faktach, tylko w ustosunkowaniu się do nich autora, który roni łezkę wzruszenia tam, gdzie powinien powiedzieć (też po staropolsku) psiakrew. Dyskusja z autorem jest w tym wypadku o tyle niebezpieczna, że mogłaby lada chwila zahaczyć o tak drażliwą rzecz, jak poglądy polityczne.

Jeśli za wiele lat historyk literatury weźmie do ręki „Spadkobierców", odrazu odtworzy sobie ze stuprocentową dokładnością cały polityczny i społeczny światopogląd autora i tych, którzy należą do tego samego co on obozu. Nie można więc krzyczeć, że sztuka jest zła. Sztuka jest dobra, doskonale napisana, błyszczy zręcznym djalogiem i chyba niema pretensji do koturnów. Gdyby miała, toby było bardzo niedobrze. Złem jest to, że poglądy wyrażone w sztuce nie wszystkim smakują. Ale Grzymały - Siedleckiego chyba już nie zmienimy.

Wśród zespołu prym wiodła, oczywiście, Ćwiklińska, no i Węgrzyn, no i Zelwerowicz, no i Żeliska — no i — nie można wymienić całego afisza. Wszyscy grali świetnie. Hnydziński wyglądał trochę, troszeczkę za poważnie, a Żeliska za dziecinnie. Tylko z tego powodu para była niedobrana.

Zofja Miszewska.

MAŁE NIEDOLE ŻYCIA TOWARZYSKIEGO

SZEWCKA PASJA

Angielski gentleman nigdy się nie unosi. Angielska gentle lady — tembardziej.

Ale w Anglji czwartek napewno znaczy właśnie — czwartek; a godziny trzeciej popołudniu nikt nie myli z siódmą wieczór dnia następnego.

A u nas!!!...

Powiedzmy — buty. Zwyczajne buciki na podróż. Takie, co to muszą być i wygodne i praktyczne.

Obstalowuje się to - to przezornie zawczasu, najmniej o miesiąc.

— Buciczki, a jakże — będą gotowe za dziesięć dni. Zadatek, kwiteczek. W porządku.

Przychodzi się za dziesięć dni. Zdziwienie, konsternacja.

— Buciczki? Na dzisiaj? A jakie to miały być?

Konfrontacja kwitu z księgą obstalunków. Drapanie się w głowę. Dłuższe konszachty z personelem. Wychodzenie do sąsiedniego pokoju, głośne rozmowy ze ścianą. Wreszcie:

— Buciczki faktycznie miały być na dzisiaj. Ale... zapomnieliśmy. Trudno. Pani dobrodziejka pofatyguje się za tydzień.

„Dobrodziejka" fatyguje się za tydzień (cóż ma począć?). Znowu zdziwienie żądanie kwitu. Takowy w międzyczasie zdążył się zgubić. Więc — książka obstalunków. Wszystko jest zapisane, tylko... bucików znowu nie ma. Będą wieczorem.

Przychodzi się nazajutrz rano. Przywitanie niezmiernie roztargnione. Trzeba od początku opowiadać co, jak i kiedy.

— Pani zechce się pofatygować za godzinkę.

Za godzinkę i drugą, po dłuższem zaczekaniu na miejscu, okazuje się, że buty jednak są (o dziwo!) ale nie do włożenia. Jeden ciasny, drugi krzywy. A chodziło właśnie o to, żeby były wygodne. — Trzeba zrobić nową parkę — opinjuje sam majster.

— Dobrze. Ale kiedy?

— Zrobi się prędko. Za jakie pięć dni?

Mija dni pięć, sześć i siedem, a butów jak nie ma tak nie ma. Codzienna pielgrzymka do szewca wchodzi w normalny rozkład dnia.

Wkońcu przebiera się miarka; miarka cierpliwości.

Awantura. Niezbyt wytworna jak to zwykle awantury.

— Co panowie sobie wyobrażają?!... Że ja nie mam nic innego do roboty, jak przychodzenie tu po to, żeby się dowiedzieć, że bucików nie ma. To skandal — takie lekceważenie klienteli. Noga moja tu więcej nie postanie... I...

I niewiadomo co więcej. Jak kto

niema szczególnej wprawy w wymyślaniu, to niewiele umie w tym zakresie wymyślić.

Więc: — Ja tu chyba przyjdę z policją! O.

Ale przychodzi się nadal bez policji, bo czasu zostało tak niewiele, że już go nie wystarczy na obstalowanie obuwia gdzieindziej, i zadatek... i wogóle... Wizyty w pracowni obuwia (artystycznej pracowni) weszły w przyzwyczajenie.

— Bo my, proszę pani, jesteśmy szewcy — tłumaczy z godnością pan majster, najwidoczniej posądzający klientkę o to, że mogłaby zamówić buciki w składzie porcelany, albo instrumentów muzycznych.

— Więc cóż stąd, że szewcy?

A bo to u szewców każda rzecz musi mieć swój czas. Trzeba wejrzeć w każdą szczegółę.

— Ba, ale żeby ten „swój" czas można było zgóry określić.

Wglądanie w „każdą szczegółę" trwa. Ostatecznie obiecano buciki odesłać do domu, ale nie odesłano. W pracowni też ich potem nie było (podobno jakiś tajemniczy ktoś polerował w tym czasie obcasy).

Kiedyś wreszcie były buciki i były prawie dobre.

— Troszeczkę się jeszcze rozbije ten lewy i już się odsyła. Momencik. Pani dobrodziejka wróci do domu, a buciczki już tam będą.

Wróciłam po dwóch godzinach — bucików oczywiście nie było. Dostałam napadu serdecznego śmiechu (histerja?!) nad rozdziawioną do pakowania walizą. I zrozumiałam co to znaczy „szewcka pasja". Uczucie szczeropolskie, nieznane szczęśliwym

anglikom, dla których piątek jest zawsze piątkiem, godzina trzecia niezmiennie — trzecią, a kupiecko słowo ma walor banknotu.

A u nas cóż... „faktycznie"...

Wypadnie się jeszcze raz „pofatygować". Obym tylko zdążyła na pociąg.

Jadwiga Kiewnarska.

PALUCHOWA

SYLWETKA

Nikt z nas już sobie nie może przypomnieć od kiedy Paluchowa przychodzi do nas po robotę. Nawet mama nie pamięta. Kiedy zaczęliśmy łaskawie zwracać uwagę na otoczenie Paluchowa tkwiła już w życiu naszej rodziny tak, jak tkwią różni gołogłowi wujciowie o gołębich sercach i takichże móżdżkach, lub staropanieńskie, wąsate ciocie.

Według życzeń mamy mieliśmy naszych krewnych kochać i szanować, jako ludzi dobrych, którzy już swoje w życiu odrobili.

Z początku wszystko szło jaknajlepiej. We wczesnych latach dziecińswa, gdy stryj Alfons psuł nam żołądki nieprawdopodobnemi ilościami czekoladek, których konsumowaniem mąciliśmy ciszę nocną, lub gdy ciocia Helenka, siostra mamy (jakże biegunowo od niej odmienna) wyciskała na naszych policzkach pocałunki, wspominane przez najbliższy tydzień ze łzami bólu w oczach i czułym masażem, omalże wyłamanych zębów trzonowych, — byli oni dla nas przeznaczeniem, groźną koniecznością życiową.

Stryj Alfons i ciocia Helenka jednak jaśnieli blaskiem wybitnych indywidualności wśród tej mgławicy cioć i wujciów zalegających nasze mieszkanie przy każdej rodzinnej uroczystości. Gdy jednak podrośliśmy, brat mój Tomek — przechodząc okres studencko-fryzjerskiej elegancji, kiedy-to codzienne besztaniny za nieporządne czyszczenie ubrań brała nasza Zuzia, a my wywąchiwaliśmy przy stole wszystkie najniemożliwsze rodzaje perfum. — oświadczył, że fatalna powierzchowność i brak gustu stryja Alfonsa kwalifikuje go na skończoną i nieciekawą małpę, a zupełne niewyżycie erotyczne wykańcza go na okaz rzadko spotykanego i będącego na wymarciu, gatunku tępych kabotynów.

Ja natomiast objawiłam poraz pierwszy niezwykłą subtelność zmysłu węchu, i stwierdziłam dobitnie i stanowczo, że ciocia Helenka wykazuje wprost zastraszający talent oszczędnościowy w używaniu wody i mydła.

Obydwie te tezy wywołały burzę z piorunami i błyskawicami w sercu drogiego naszego papy, zakończoną, jak zwykle ciepłym deszczem łez i tęczą uśmiechu mamy.

Lecz krytyczne wyrobienie naszego poglądu na otaczających nas ludzi nie dotyczyło Paluchowej. Była ona uosobnieniem tajemnej siły, dzięki której nasza bielizna i pończochy pozostawały stale w porządku. To zasuszone babsko o niewyraźnej twarzy i przeszłości, ubrane w niezliczoną ilość chust i spódnic mieszkało w baraku dla ubogich. Gdy Paluchowa „słabowała", zreperowaną bieliznę przynosił jej mąż, wysłużony kelner o dobrotliwym uśmiechu filozofa na zdziecinniałej gębie pochlebcy. Początkowe jego wizyty ściągały nas wszystkich do przedpokoju, gdyż głuchawy Paluch już od progu drzwi wejściowych pokrzykiwał:

— Znajomy przyszedł do państwa, znajomy!

Jego pogodny uśmiech miał swą rację: od wielu lat jedynem zajęciem Palucha w domu było wylegiwanie się w łóżku, ćmienie fajki i roztrząsanie losów świata. Zczasem odkryliśmy przypadkowo, że grał także pewną rolę w życiu społecznem, a mianowicie w słoneczne dnie wygrzewał się pod kościołem, przyjmując z dostojeństwem godnem lepszej posady datki od miękkosercowych dewotek.

Najpiękniejszym bezsprzecznie dniem w roku były zawsze imieniny mamy, czyli św. Zofja. W tej cudnej atmosferze pełnej zapachu kwiatów. blasku słońca i ciepła dobrych słów, najpiękniej jaśniała mama: uśmiechnięta, w nowej aksamitnej sukni. do której tak dobrze było przytulić się po odejściu gości, królowała mama. o miękkich, pachnących włosach, których ułożenie psuliśmy zawsze pocałunkami. W taki to właśnie dzień, wśród perfumowanych listów i bilecików z życzeniami, znaleźliśmy brudną, skromną kopertę, z dziecinnie wykoszlawionym adresem. Ten dziwny list pisany był wierszem, w którym nasza droga mama zmieniała się w jakieś przedziwne połączenie zalet anioła z wdziękami kwiatu. Czuliśmy w tym poemacie zapach potu i atmosferę odpustową w Częstochowie. Energiczny podpis „Paluchowa" i poniżej malutki dopisek „oraz mąż" rozrzewniły nas.

Odkrycie w Paluchowej poetki wpłynęło na zasadniczą zmianę naszego do niej stosunku. Przedewszyst-

kiem skończyło się już przyjmowanie jej w przedpokoju.

Wprowadzona uroczyście do jadalni zostawiała na lustrzanych parkietach wielkie mokre plamy z błota, a widząc że wchłaniamy podwieczorek, życzyła smacznego, napół przytomna z emocji oddawała zreperowaną bieliznę i brała nową porcję wpatrzona w kogucią czuprynę Tomka i w moje (choć tego prawa własności nie zdołałam nigdy udowodnić) t. zw. „mamusine oczy".

Jako że dzień był deszczowy, rozpoczęła Paluchowa snuć opowieść z tysiąca i jednej nocy: o potędze reumatyzmu, o kaprysach żołądka o niebezpieczeństwach omalże życiu ludzkiemu zagrażających, wynikłych z mycia głowy zimą.

Chłonęliśmy w siebie te nowości niczem gąbki wodę, starając się nie uronić ani jednego słowa, by potem wieczór móc pomarzyć o tajemniczym i pełnym nieznanych nam mądrości, świecie Paluchowej.

Dwie jeszcze zalety miała ta dziwna kobieta: z nigdy niewygasającą wdzięcznością uwalniała nas od balastu pism religijnych stale bezkrytycznie zachwycając się ich treścią i bardzo kochała Marszałka. Gdy zastała nas przy głośniku słuchających w smutku głębokim transmisji Jego pogrzebu, płakała jak dziecko.

Pamiętam, jak pewnego wiosennego wieczoru, mama płacąc Paluchowej za robotę spytała od niechcenia:

— A... Paluchowa nie miała dzieci?

— Miałam dwoje.

Zaskoczyła nas baba odpowiedzią, dziwnie tym razem oszczędnie i z namysłem słów dobierając.

— Gdzie są? — spytała mama zmienionym głosem. W ślicznej pani i dobrej wróżce naszego domu nie było teraz nic z gustownie ubranej światowej kobiety, najlepszej przyjaciółki i najsilniejszej podpory moralnej słabego papy. Jaśniała tajemnem światłem, jakie ujrzeć możemy tylko w oczach matki.

A Paluchowa? Jakąż musiała być kiedyś śliczną dziewczyną! Teraz stała obok z twarzą nagle wygładzoną ze zmarszczek, wpatrzona z wysiłkiem w jakiś obraz daleki przed naszemi oczyma zakryty.

— Chorowały z biedy. Umarły jeszcze w maleńkości. Chłopczyk był starszy, a dziewczynka miała takie włosy miękkuchne...

Przymknęła oczy, ściągnęła brwi w wyraz rozkosznego bólu a zreumatyzowane palce gmerały po białym obrusie jakby przebierały długie, jedwabne pasma włosów. Przepaść. zdawałoby się nie do przebycia, która dzieliła mamę moją od Paluchowej, wydała mi się małym, łatwym do przeskoczenia jarem. Czułam że obie patrzą w jeden i ten sam świetlisty punkt zagubiony gdzieś we wszechświatach, wieczny i niezmienny jak losy człowieka.

I dziś, gdy z różnych stron świata zbiegamy się jeszcze czasem, by ogrzać nasze ziębnięte serca w cieple uśmiechu mamy i zacałować jej siwe włosy, nieraz z uśmiechem rozczulenia wspominamy Paluchową, kobietę pełną tajemnic i głębokich prawd życiowych.

Romana Buzkówna.

Z UBIEGŁEGO MIESIĄCA

DZIEŃ KOSMETYCZNY.

Zjednoczone w Stowarzyszeniu Właścicielek Gabinetów Kosmetycznych w Polsce, właścicielki Instytutów Kosmetycznych zadecydowały na ogólnem zebraniu Stow. urządzenie „Dnia Kosmetycznego" połączonego z referatami i wystawą produkowanych przez nie preparatów kosmetycznych.

„Dzień Kosmetyczny" odbył się dn. 22 marca r. b. w niewielkiej, lecz miłej sali Warsz. Klubu Wioślarek na Krakowskiem Przedmieściu. Wystawę otworzyła, wygłaszając słowo wstępne, p. Anna Paradowska-Szelągowska Przewodnicząca Polskiego Zjednoczenia Kobiet Pracujących Zawodowo.

„Dzień Kosmetyczny" dał świadectwo wysokiego poziomu fachowego właścicielek gabinetów kosmetycznych, które w nim brały udział.

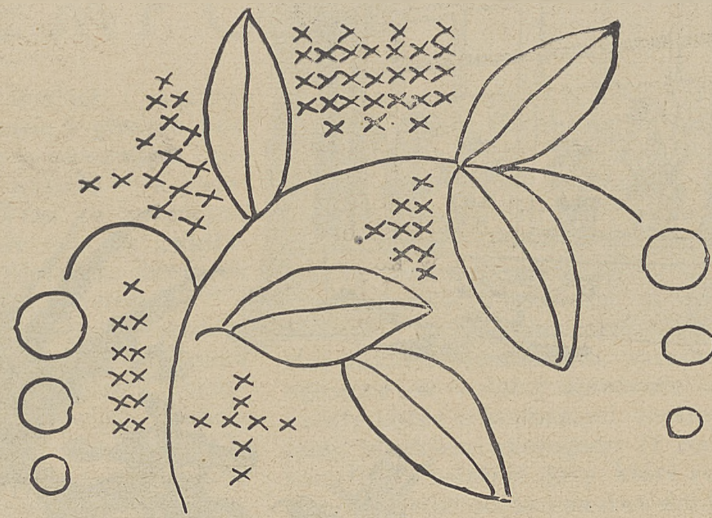
Podczas wystawy wygłoszone zostało kilka referatów. Prelegentki, spośród właścicielek gabinetów kosmetycznych, poruszały tematy najżywotniejsze. to też dziękowano im hucznemi oklaskami.

Do najciekawszych referatów zaliczyć należy wygłoszone przez Panie: Magdalenę Poznańską — „Kunszt kosmetyczny Renesansu"; Janinę Albrechtową — „Trądzik i jego skutki"; Weltową Eugenję — „Usuwanie nadmiernego owłosienia"; Janinę Danieli — „Cera, maquillage, fryzura"; Marję Kasperską — „Kosmetyka indywidualna"; Zofję Wasilewską — „Piękno w harmonji".

Zainteresowanie z jakiem zwiedzano wystawę i słuchano referatów świadczy najlepiej o tem, że „Dzień Kosmetyczny" nie powinien pozostać zjawiskiem oderwanem, a powtarzać się częściej, nawiązując stały kontakt pomiędzy właścicielkami gabinetów kosmetycznych, a szeroką publicznością.

Na przyszłość byłoby jednak wskazanem powiadomić zawczasu o „Dniu kosmetycznym" i publiczność i prasę, a szczególnie prasę kobiecą, obsługującą w pierwszym rzędzie kobiety.

SERWETKA Z PŁÓTNA LNIANEGO

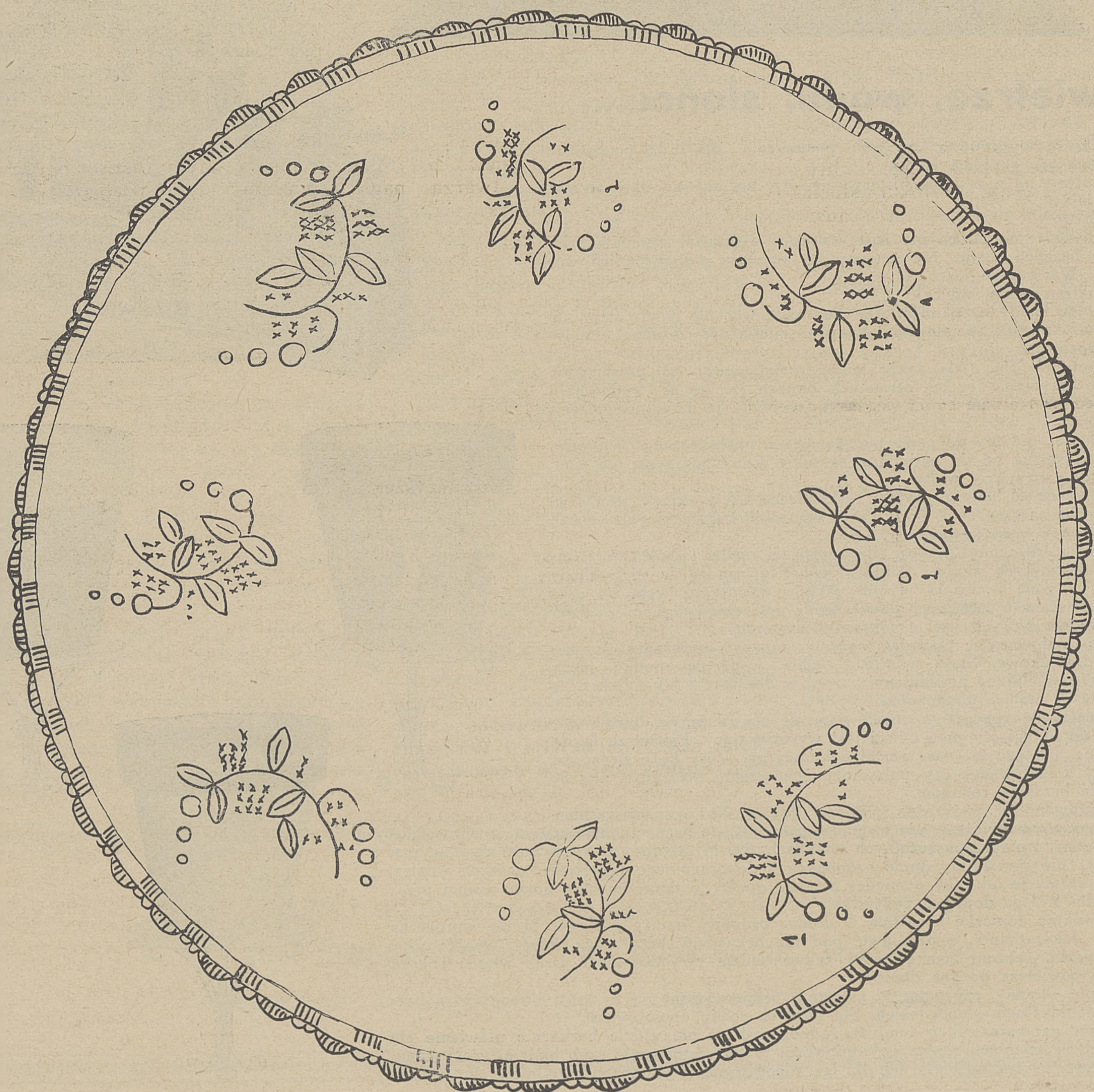


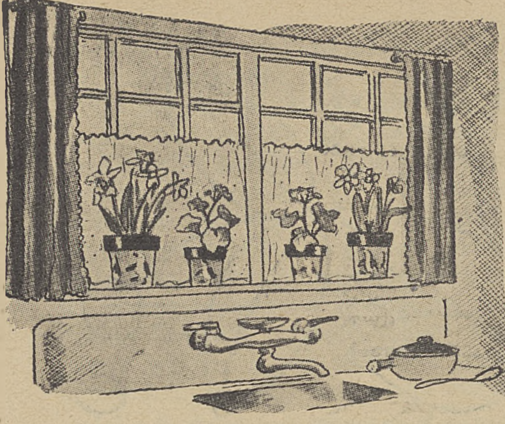
Okrągła serwetka z lnianego płótna, o szarym odcieniu, o średnicy 50 — 60 cm. ozdobiona jest barwnym haftem podług podanego wzoru.

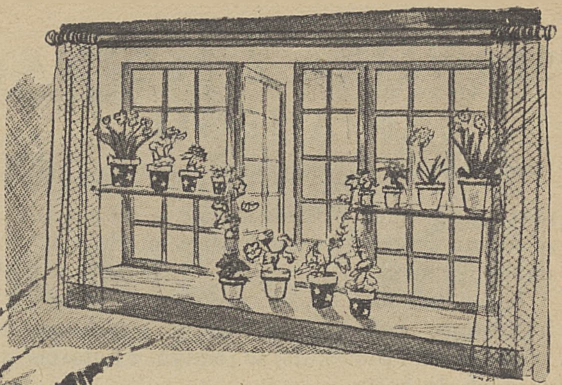
Koło dzielimy na 8 części i na każdej haftujemy bukiecik, a brzeg obrabiamy dzierganiem i pikotkami w jednym z kolorów użytych do haftu.

Kolory:

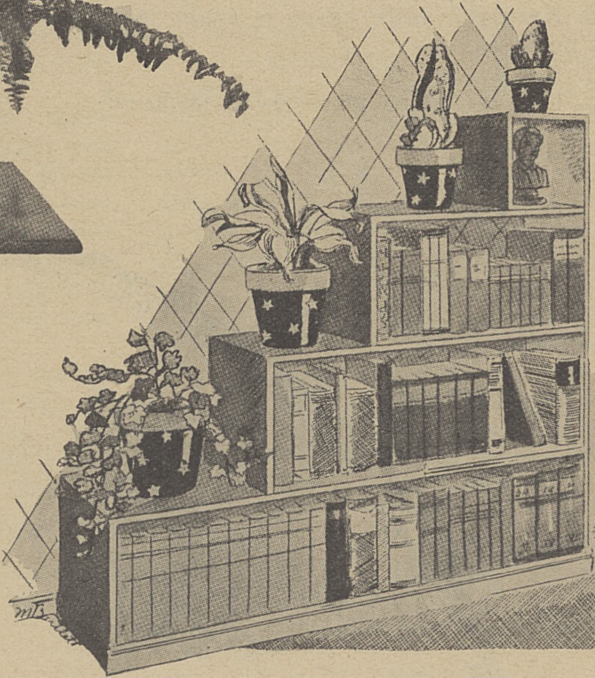
1. Liście: mocno żółty — pomarańczowy ciemny.
2. Liście: cytrynowy — jasno żółty.
3. Krzyżyki: szafir ciemy — szafir jasny lub niebieski.
4. Kropki: bronzowe.
5. Łodyżki: ciemn. pom. do (1); jasno żółty do (2).











Powietrze, woda, słońce....

Rośliny doniczkowe to „nagroda pocieszenia" dla ludzi pozbawionych własnego skrawka ziemi.

Hodujemy je z zapałem, który, niestety, nie zawsze daje wyniki zadawalające.

Dlaczego?

Odpowiedź prosta: bo nie znamy naogół wymagań, elementarnych potrzeb naszych roślin, nie umiemy im stworzyć odpowiednich warunków. Warunkami temi są:

Powietrze, woda, słońce!

To umie każdy na pamięć. Ale nie każdy wie, nie każdy liczy się z tem, że wszystkie te „błogosławieństwa" muszą być rozumnie i umiejętnie dozowane.

Powietrze? Tak. Ale jakże wiele roślin cierpi od przeciągów. Więc trzymając je na otwartych oknach, za co te wytrzymałe wywdzięczają się nam bujną wegetacją, chrońmy je przed zabójczemi przeciągami.





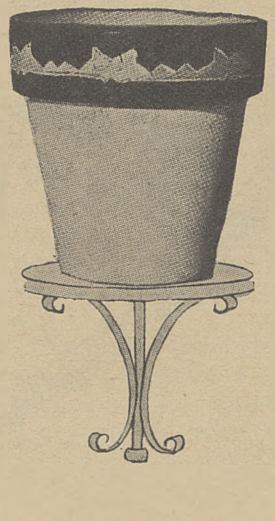
Woda też nie zawsze może być dozowana bezkrytycznie. Są rośliny, które cierpią od jej nadmiaru, są takie, które zdają się nie mieć nigdy dosyć ożywczej wody.

Do pierwszych należą kaktusy, obchodzące się w okresie zimowego wypoczynku nieomal bez wody, a w sezonach wegetacyjnych wymagające dawek umiarkowanych.

Tą samą wstrzemięźliwością odznaczają się rośliny cebulkowe, o dużych, rozwiniętych silnie, cebulach, które gromadzą w nich zapas wilgoci na zimę i cierpią w tym okresie wypoczynkowym od częstego polewania, a częstszych dawek wody potrzebują dopiero w okresie tworzenia nowych liści i pąków kwiatowych.

Do patentowanych pijaków możemy zaliczyć asparagusy i paprocie doniczkowe. Stale wilgotna ziemia, woda na spodku, mech wilgotny zaścielający powierzchnię ziemi w doniczce i jak najczęstsze zraszanie — oto ich upodobania.

Wracając do „powietrza" niech nam się nie zdaje, że dopływ powietrza do łodygi czy pnia i liści jest wystarczający. Powietrza łakną i korzenie. Dlatego też nasz zmysł dekoracyjny, który każe sięgać po ozdobne, o malowanej czy polewanej powierzchni wyrządza niejednokrotnie krzywdę roślinom.



To prawda, że zwyczajna gliniana donica, której powierzchnia zatraca z czasem świeżość, nie wygląda ozdobnie, ale bezpośrednie sadzenie roślin w donice ozdobne, o nieprzepuszczalnych ściankach, działa zabójczo na sprawność wegetacyjną.

To też nie skreślajmy donic ozdobnych z dekoracyjnego repertuaru naszych wnętrz, ale dobierajmy je tak, aby pomiędzy ścianką donicy, a doniczką było dosyć wolnej przestrzeni dla stałego dopływu powietrza.

Wstawiając doniczkę z rośliną w donicę ozdobną, należy postawić ją nie wprost na dnie tej dekoracyjnej, a podstawić pod nią drewniany krzyżaczek, który, wywyższając dno doniczki, uchroni ziemię przed zakwaszeniem powodowanem przez wilgoć i brak dopływu powietrza do dna donicy.

Parapet okienny, czy półeczki zręcznie rozmieszczone na tle szyb okiennych są bezsprzecznie idealnem stanowiskiem dla naszych roślin doniczkowych.

Ale nie zapominajmy o tem, że żadnej roślinie nie ujdzie bezkarnie pławienie się w ostrych promieniach słońca południowego, to też cieniowanie szyb białemi zasłonkami, lub poprostu arkuszami białej bibułki jest nieodzowne w godzinach południowych. *Ir. A.*

„ILLO TEMPORE"

Jeżeli obecnie się narzeka na rzekomo niehigjeniczny zwyczaj zastawiania stołu wielkanocnego paru gatunkami ciemnego mięsiwa i kilku rodzajami ciast — przeważnie tradycyjnych mazurków — to cóżby nasze reformatorki odżywiania świąteczno-wielkanocnego powiedziały, gdyby danem im było ujrzeć Święcone we dworze wiejskim przed pół wiekiem.

Postaram się im to opowiedzieć.

Działo się to na dalekich Kresach Wschodnich, gdzie przestrzenie posiadłości były duże, ilość ludzi pracujących we dworze i żyjących z dworu były ogromne, a stąd rozmach odpowiedni.

Już od środy popielcowej zasadzano do karmienia indyki. Każdego oddzielnie, aby się nie biły i zdala od niosących się lub siedzących na jajach indyczek, aby tęsknota do nich apetytu im nie psuła. Do tuczenia ich sprowadzano z Rygi, najbliższego, dużego miasta, transport niedużych orzechów włoskich. Niezależnie — od klusek na mleku, któremi indyki pasiono, musiały przełykać te orzechy, zaczynając od jednego do dziesięciu dziennie. Robota to była nielada, bo indyków tuczyło się dużo. Oprócz potrzebnych na stół dworski, szły z nich podarunki różnym krewnym i przyjaciołom zamieszkałym w mieście, księdzu proboszczowi, zawiadowcy stacji kolejowej, a nawet na żydowskie święta, paru wybitniejszym działaczom z miasteczka.

Wieprze, przeznaczone na wielkanocne szynki, zarżnięto już w zapusty. Oprócz zwykłej karmy dostawały one codziennie groch parzony, zaprawiony miodową sytą, co miało wpływać na smak tych szynek.

Cielęta, przeznaczone na święta, pojono trzy tygodnie mlekiem, obficie zaprawionem rozbitemi w niem jajami.

Na dni dziesięć przed świętami, stary, dziadowski jeszcze rządca, choć nie używający tytułu „łowczego", mobilizował wszystkich leśników aby zaopatrzyć dwór w zwierzynę. Lasy były ogromne, ale sarn było w nich mało, bo wypłoszyły je tory kolejowe, przecinające się wzdłuż i wszerz. Zające zaś, cietrzewie i głuszce bito ile się dało. Prawo o wiosennym czasie ochronnym nie istniało — a zwierzyny było huk. Wraz ze zwierzyną zwożono z lasu całe naręcze „widłaków" i zielonych gałązek borówek do ozdoby stołów ze święconem.

Na tydzień przed świętami zjeżdżała z Wilna babcia z ogromną paką „bakalji", pomarańcz, korzeni, maczków i kwiatków cukrowych. Babcia obejmowała dyrekcję generalną. Oprócz zwykłego, licznego personelu kuchennego, przydzielano dwie dziewki folwarczne specjalnie do mięszania ciast i ubijanie ciasta na baby w bójkach od masła.

Kucharz i „panna apteczkowa", zwykle zupełnie niezależni, stawali się tylko zwykłemi kółkami w skomplikowanej, a rozpędzonej maszynie przygotowań świątecznych.

Od poniedziałku tarto, tłuczono, przecierano, pieczono, lukrowano, ubierano. W sobotę rano wszystko powinno było być gotowe.

Duża jadalnia była zbyt mała.

W ogromnej pralni, w oficynie, świeżo wybielonej, ustawiano stoły.

Pośrodku, długi, dla państwa i gości. Na rogach jego pudowe szynki i olbrzymie indory. W altanie z zielonej czeremchy szczerzyła kły głowizna z czerwonem jajkiem w paszczy. Na altanie królował śliczny baranek z masła, arcydzieło własnoręcznego wyrobu babci. Rogi miał złocone i chorągiewkę ręcznie haftowaną. Prosię również musiało trzymać czerwone jajko w ryjku. Oprócz łokciowych bab parzonych, petynetowych, szafranowych ukraińskich, paradowały chlebowe, cytrynowe, migdałowe i śnieżne.

Tortów na Wielkanoc nie pieczono i mazurki, chociaż liczne i smaczne, nie były tak wykwintne jak dzisiejsze. Zato wszystkie ciasta były lukrowane w najrozmaitsze kolory, posypane maczkami, przystrojone cukrowemi kwiatkami. Pomiędzy mięsiwami i ciastami paradowały laki i popielniki, hjacynty i tulipany, obok sałaty i rzodkiewki, ba, nawet czasem ogórków i zawsze młodych, inspektowych kartofli, tytułu do chluby ogrodnika.

Na drugim stole (blacha z kotłem, przykryte długiemi deskami) stały takie same mięsiwa i równie obfite, lecz nieco mniej wykwintne, ciasta dla służby dworskiej (niższej, bo „dygnitarze" dostawali „pańskie" święcone). Nakoniec na również przemyślnie w stół zamienionym maglu paradowało ogromne w całości upieczone cielę, i stały kosze z kiełbasami, serami, jajami, słodkiemi pierogami (z rodzenkami!). Te ostatnie dary, które rozdawano czeladzi odrazu na dwa dni świąteczne, aby dać jej zupełną swobodę rozporządzania czasem, za wyjątkiem godzin karmienia koni i bydła i udoju.

Ustawiano wszystko razem, aby ksiądz proboszcz, który przyjeżdżał zaraz popołudniu, mógł to poświęcić. Po uroczystem poświęceniu do bryczki księdza wkładano babę i mazurek, organista otrzymywał placek i zwój kiełbas. Pokój ze Święconem zamykano na klucz aż do rannej Rezurekcji, po której służba i czeladź otrzymywała swoje Święcone, a administracja, dygnitarze w rodzaju kucharza, panny apteczkowej, gospodyni folwarcznej, ogrodnika i t. p. byli proszeni do spożycia Święconego wraz z państwem.

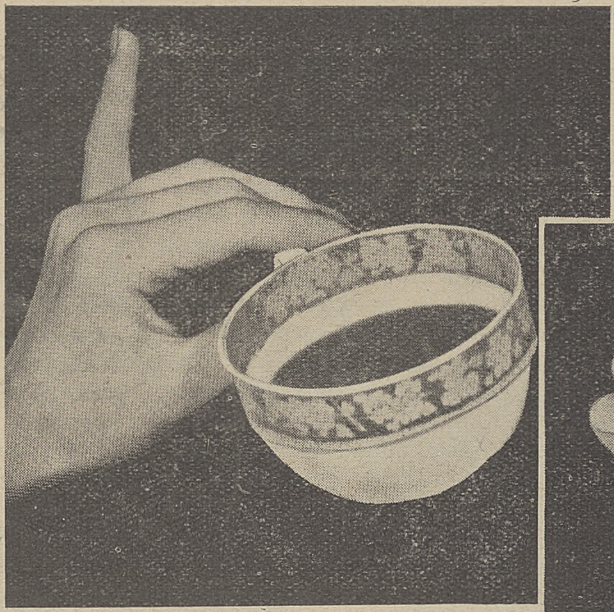
Goście jeszcze spali. Kawę z babą posyłano im do łóżka. Zjawiali się dopiero na drugie śniadanie. Mięsiwo krajał kucharz, ale szynki pan domu nikomu krajać nie pozwalał. Takiego cienkiego jak papier, a wielkiego jak cały talerz płata nikt ukrajać nie potrafił.

Ciekawe było to, że w owych czasach w całej kresowej parafji, liczącej przeszło trzy tysiące dusz nie było biednych, potrzebujących wsparcia. Bezdomne baby i dziady, zamieszkujące tak zwany szpital (domek około kościoła), otrzymywały takie same Święcone co czeladź dworska. A były to podobno złe czasy, zbytku ziemian i nędzy proletarjatu (zresztą ten ostatni wyraz na naszych Kresach nie był jeszcze znany).

Elżbieta Kiewnarska.

Redakcja i administracja Tygodnika Kobiety proszą Panie Prenumeratorki o punktualne wpłacanie bieżących i regulowanie zaległych prenumerat.

KULTURA PALENIA





Papieros - niedawno jeszcze traktowany przez „palące“ kobiety, jako wyraz emancypacji, kokieterji, brawury stał się dzisiaj siłą przyzwyczajenia, graniczącego z nałogiem, nieodstępnym przyjacielem wielu kobiet.

Zwyczaj palenia przejęty od mężczyzn nie upoważnia nas jednak do przyswojenia sobie ujemnych cech palaczy męskiego rodzaju.

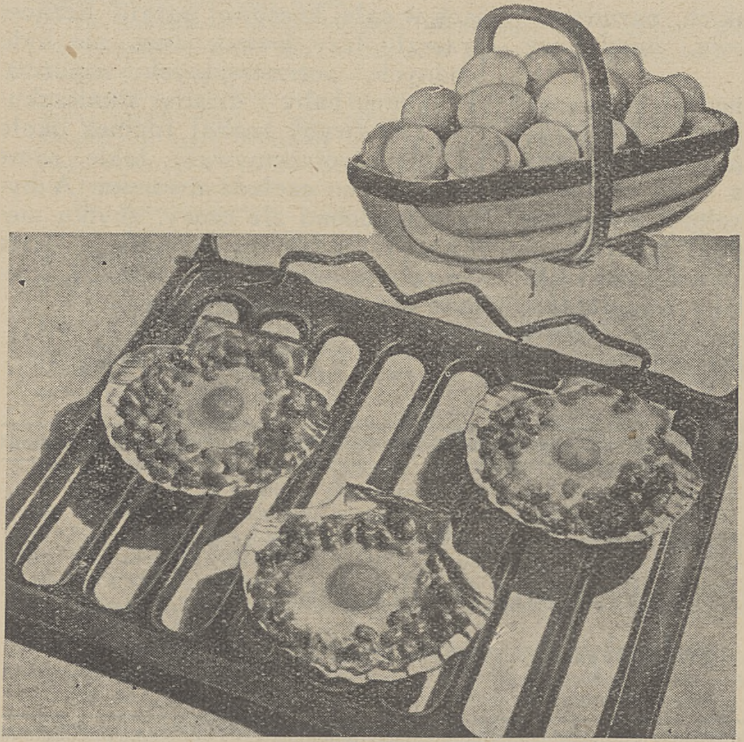
Kobieta paląca musi posiadać estetykę palenia, która polega na wielu pozornie drobnych, a jednak ważkich nakazach.

Estetyka palenia polega przedewszystkiem na zwalczaniu piętna, jaki papieros zwykł pozostawiać na palaczu. Więc: pokój, ubranie włosy przesiąknięte kwaśnym dymem, czemu przeciwdziała skutecznie staranne, częste wietrzenie; zęby pokryte bronzowym nalotem nikotyny o ile nie używamy do czyszczenia ich odpowiednich: proszku czy pasty: oddech swoisty palaczom, a tak przykry dla otoczenia — złagodzą go częste płókanie jamy ustnej wodą z odświeżającym eliksirem, lub też drobne miętowe drażetki „przegryzane“ pomiędzy jednym a drugim papierosem.

Wreszcie sam proces palenia. Popiół, który mężczyźni tak hojnie i bezkrytycznie rozsiewają dokoła siebie: na posadzki, dywany, biurka, spodki od filiżanek i niedopałki rzucane do wazonów, na podstawki od kwiatów, do wnętrza figurek i t. p. Niedbalstwo graniczące z brakiem dobrego wychowania, za które karcimy ich nieraz ostremi słowami, nie powinno stać się i naszą przywarą. Jeżeli już palimy palmy estetycznie, poprawnie i porządnie, starając się nietylko posiąść kulturę palenia, ale i krzewić ją wśród tych, którzy jej nie posiadają.

I jeszcze jedno: liczmy się z osobami, które „nie znoszą dymu papierosów“, nie usprawiedliwiając swego braku względności tem, że „nie możemy tego zrozumieć“. Oni wzamian napewno „nie rozumieją“ naszego upodobania do otaczania się chmurami dymu, którym muszą oddychać — (biedne ofiary palącej większości!) — jeżeli nie chcą się stać odludkami.

ZAPIEKANKI



Zapiekanki są nieraz opatrznościowem uzupełnieniem jadłospisów, szczególnie z chwilą, kiedy trzeba jakoś podciągnąć skromny posiłek, nadając mu cechy wykwintu.

Dar pomysłowości, jaki niejedna z nas posiada, w dużym stopniu, ułatwia wprowadzenie w dziedzinę zapiekanek niecodziennej rozmaitości, przy stosunkowo niewielkim nakładzie kosztu i trudu.

Naprzykład jaja zapieczone na muszelkach, jako uzupełnienie skromnej kolacji, podniosą ją odrazu do godności dobrze zestawionego posiłku, który nietylko będzie mile widziany przez domowników, ale i zasłuży sobie na uznanie, niespodziewanie zjawiających się gości.

Muszelka, lub terynka wysmarowana masłem deserowem, na to wybite surowe jajko (bez uszkodzenia żółtka) dokoła wianuszek z pozostałej od obiadu brukselki, grzybków, szynki drobno posiekanej, małych cebulek podduszonych na maśle, groszku zielonego albo poprostu wydrążonych okrągłą łyżeczką i obgotowanych kartofelków.

Zależnie od tego czem garnirujemy jaja, posypiemy je, wydając na stół albo tartym serem, albo drobno siekaną zieleninką. Terynki i muszelki wydawane wprost z pieca są tak silnie rozgrzane, że nie może być mowy o innem podawaniu ich biesiadnikom, jak ustawione na talerzykach. Chwytanie ręką, byłoby tutaj nietylko nieestetyczne, ale i bolesne, bo grożące poparzeniem.

Praktyczna.

WIADOMOŚCI RADJOWE

AUDYCJA DLA POLAKÓW Z ZAGRANICY

„Młodzież polska — poznaje swój kraj".

Jak wygląda Polska w oczach młodzieży polskiej urodzonej i wychowanej zagranicą? W naszej audycji dla Polaków z zagranicy w dniu 2 maja głos zabiorą młodzi stypendyści z zagranicy, którzy przybyli do Polski na Kurs Wiedzy o Polsce, zorganizowany przez Światowy Związek Polaków z Zagranicy. Młodzież uczęszcza na wykłady, bierze udział w licznych wycieczkach, poznaje kraj. Jakie wrażenie wynieśli z nieznanej dotychczas ojczyzny i jak spędzają czas na kursie, dowiemy się z audycji, którą nadamy dnia 2 maja o godz. 21.00. Audycja będzie, jak zwykle, urozmaicona muzyką.

„PROWINCJUSZE" — ODCZYT RADJOWY.

W naszej audycji „Dyskutujemy" znowu poświęcimy jedną audycję prowincji. Tym razem będzie to djalog prof. Konrada Górskiego i prof. Mieczysława Limanowskiego, omawiający zagadnienie psychiki człowieka żyjącego na prowincji, jego stosunku do życia wielkomiejskiego i do stolicy. Djalog, zatytułowany „Prowincjusze" nadany zostanie dn. 29.IV. o godz. 17.00.

SKRZYNKA P. K. O.

Specjalnego rodzaju „skrzynką" jest „Skrzynka P. K. O." prowadzona przez red. Stanisława Strumpf-Woytkiewicza. Jestto najmłodsza ze „skrzynek", przeznaczona też przeważnie i dla najmłodszych, których uczy oszczędzać, dając im do ręki środki materjalne w postaci uciułanego grosza na książeczkach oszczędnościowych Pocztowej Kasy Oszczędności. I ta także „Skrzynka" rozwija się coraz pomyślniej, zyskując sobie wzięcie nietylko u młodych, ale i u starszych.

Oczywiście — „skrzynki" te narastały z biegiem lat w miarę rozwoju programów radjowych i wzrostu liczby radjosłuchaczy, których zainteresowania coraz bardziej się z jednej strony rozszerzają, z drugiej strony różniczkują.

PRZYJACIELSKA USŁUGA

Nowela Perzyńskiego przez radjo.

„Przyjacielska usługa", którą Polskie Radjo nada w dn. 2 maja o godz. 15.00 to typowa nowela Perzyńskiego: fragment z życia codziennego, pochwycony wnikliwem okiem psychologa, oddany z subtelną ironją.

POŻYTECZNY ODCZYT DLA GOSPODYŃ

Przez radjo.

Dla pań domu bardzo ważną jest kwestja umiejętnego robienia zakupów artykułów żywnościowych. Do najtrudniejszych zakupów tego rodzaju należy mięso. Trzeba wiele doświadczenia, aby nabyć właściwy gatunek i umiejętnie go wykorzystać. Zapewne więc panie domu chętnie wysłuchają praktycznej pogadanki „O mięsie", którą wygłosi dnia 29 kwietnia o godz. 12.15 Marja Strasburger.

Jak Cię widzą....

NASZE RĘKAWICZKI

Brudne i źle utrzymane rękawcizki, ukryte zimą w mufce lub w głębi rękawów, to nic ładnego, ale to jeszcze jakoś tam „ujdzie". Ale na wiosnę i latem, kiedy w słońcu wszystko się tak potężnie wyjaskrawia, to już jest nie do zniesienia!

To istotne świadectwo wielkiego niedbalstwa pani. I temu trzeba zaradzić, zeszywając każde uszkodzenie i piorąc rękawiczki. Ale nie wtedy, kiedy im już nic nie pomoże, a wtedy, kiedy są zlekka przybrudzone. Przytem pranie rękawiczek uzależnia się od gatunku skóry.

Rękawiczki *reniferowe i zamszowe* szczególniej białe i kremowe pierze się w letniej wodzie doskonale namydlonej. Wodę trzeba zmieniać kilkakrotnie, dopóki nie będzie zupełnie czysta. Potem rękawiczki wypłókać w czystej, letniej wodzie, przewrócić na lewą stronę i powiesić w przewiewnem miejscu. Kiedy będą jeszcze trochę wilgotne odwrócić na prawą stronę i ładnie wyciągnąć podług formy.

Rękawiczki skórkowe t. zw. *do prania w wodzie* pierze się w tem sam sposób tylko nie odwraca się na lewą stronę, a wiesza zwyczajnie na prawą.

Rękawiczki ze skór *duńskich glansowanych* i fantazyjnych pierze się w benzynie. W tym celu nalewa się dużą ilość benzyny do miseczki i pierze się w niej rękawiczki, jak w wodzie. Po wyciśnięciu kładzie się je na grubym ręczniku i wyciera się raz koło razu do sucha. Następnie wiesza się w przewiewnem miejscu, zdala od ognia, do zupełnego wywietrzenia.

Rękawiczki *jedwabne* i fildecossowe pierze się w letniej wodzie doskonale namydlonej, przyczem zaznaczyć trzeba, że do prania rękawiczek wogóle używa się tylko bardzo dobrego mydła. Najlepsze jest marsylskie.

Rękawiczki niciane i jedwabne po wysuszeniu, kiedy są jeszcze zlekka wilgotne prasuje się przez cienki, czysty gałganek, żeby nie miały załamań i nie wyświecały się.

Modne są jeszcze rękawiczki *z kordonku*, robione szydełkiem. Te pierze się również w letniej, namydlonej wodzie i po wysuszeniu rozciąga się równo i cierpliwie.

Pranie rękawiczek nie jest trudne, trzeba je tylko wykonywać starannie i uważnie. Jeżeli się nie jest pewną swej roboty, to lepiej rękawiczki oddać do uprania w fachowe ręce. To zabezpieczy je od zniszczenia.

Wszelkie rozprucia powinny być starannie naprawiane nićmi, czy jedwabiem w odpowiednim kolorze. Dziury wyglądają nietylko brzydko, ale świadczą też o niedbalstwie.

Igła.

Przypominamy o firmach udzielających zniżek
Paniom Prenumeratorkom „Tygodnika Kobiety".
Szczegółowy wykaz w Nr. 16-ym „Tyg. Kobiety".

BALKONY

W okresie dekorowania balkonów i okien roślinami kwitnącemi niejedna z pań potrzebuje fachowej rady, aby ustrzec się przed ewentualnością zmarnowania nakładu pracy i pieniędzy, które pójdą namarne z braku fachowych wiadomości.

Więc przedewszystkiem rodzaj skrzynek.

Unikajmy skrzyń blaszanych, jako zrobionych z materjału nieprzepuszczalnego, izolującego korzenie rośliny od dopływu powietrza. Wskazane są tylko skrzynie zrobione z drzewa o głębokości mniej więcej 20 cm., o dnie zaopatrzonem w ścieki ułatwiające odpływ wody przy obfitem letniem podlewaniu.

Ścieki robi się w dnie skrzynki świderkiem, rozstawiając je w dwóch linjach, mijanego, tak, aby linja przeprowadzona pomiędzy przeciwległemi otworkami dawała wzór trójkątów.

Zewnętrzne ściany skrzyni należy pomalować farbą olejną na kolor kamienny, harmonizujący z murami domów, odporny na nalot kurzu i stanowiący estetyczne, kontrastowe tło z wielobarwnością roślin kwitnących. Powłoka farby olejnej ma na celu nietylko względy estetyczne, ale i konserwacyjne.

Skrzynie należy podbić od spodu poprzecznemi listewkami, aby nie stały nigdy bezpośrednio na balustradzie balkonowej. Wolna przestrzeń ułatwia bowiem zarówno odpływ wody, jak i dopływ powietrza niezbędnego dla bujnej wegetacji roślin.

Przed wypełnieniem skrzyni ziemią trzeba założyć tak zwane dreny, czyli warstwę drobno tłuczonych skorup ze starych doniczek i kawałków węgla drzewnego, który przeciwdziała zakwaszeniu ziemi.

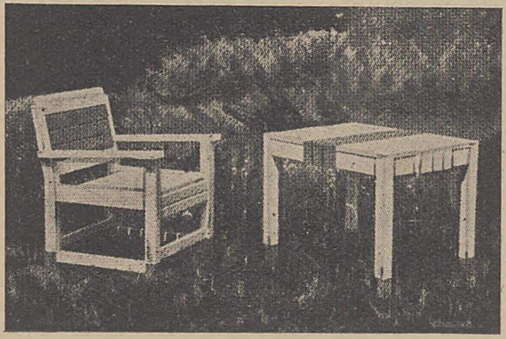
Nie należy też bagatelizować dokładnego wyszorowania starych doniczek przeznaczonych na dreny. Zachodzi tutaj bowiem obawa o zakażenie ziemi bakterjami w razie gdyby w doniczkach wegetowały kiedyś rośliny chore. Szorować najlepiej wodą gorącą z mydłem i ostrym piaskiem, poczem dokładnie wysuszyć, gdyż do wilgotnych skorup łatwo przylega ziemia, zbijając się w ten sposób w zwartą nieprzepuszczalną warstwę.

Skrzynie powinny być napełnione ziemią zawczasu, aby się doskonale wygrzały na słońcu zanim przystąpimy do siewu, lub sadzonkowania. Na dziesięć dni przed obsadzeniem skrzyń można dać niewielką dawkę soli chorzowskiej („mieszanka do kwiatów"), aby w ten sposób podnieść pożywność ziemi, w której rośliny nasze wegetować będą.

Rodzaj ziemi jest najodpowiedzialniejszym czynnikiem przy hodowli balkonowej. Pamiętajmy o tem, że tak bardzo stosunkowo mała dawka ziemi, mieszczącej się w skrzyni musi wyżywić rośliny, to też powinna być nietylko dostosowana gatunkiem do rodzaju roślin, ale i pełnowartościowa, niewykorzystana. Dlatego też nabywając ziemię do skrzynek, trzeba brać ją z pewnych, a nie z przygodnych źródeł — najlepiej zatem wprost z ogrodów handlowych, które zasługują na zaufanie.

O doborze roślin dekoracyjnych, hodowli i pielęgnowaniu pomówimy w następnych numerach.

Joanna.



Zręczny model mebelków ogrodowych lakierowanych.

Jadłospis tygodniowy

NIEDZIELA

Rosół z jarzynkami.
Paszteciki w naleśnikach z farszem z mięsa rosołowego, garnirowane natką pietruszki.
Cielęcina pieczona — sałata z cykorji — kartofle pieczone przy mięsie.
Torcik orzechowy.

PONIEDZIAŁEK

Zupa szczawiowa ze śmietaną.
Potrawka z pozostałej pieczeni cielęcej — sos rumiany z jabłkami.
Kartofle z wody z zieleninką — sałata zielona.
Naleśniki biszkoptowe z sokiem.

WTOREK

Barszcz czysty z uszkami.
Befsztyki wołowe po angielsku — masło szczypiorkowe.
Krokiety z kartofli — sałata zielona.
Pianka pomarańczowa (przepis w Nr. 15 Tyg. Kobiety).

ŚRODA

Kaszka krakowska na buljonie z koperkiem.
Pierożki ze szpinakiem „Ravioli".
Młode gołąbki pieczone z kompotem.

CZWARTEK

Zupa pomidorowa czysta z grzaneczkami.
Wątróbka ze śmietaną i kładzionemi kluseczkami (przepis w Nr. 10—11 Tyg. Kobiety).
Sałata zielona.
Kisiel czekoladowy ze słodką śmietanką.

PIĄTEK

Zupa rybna z łazankami.
Budyń z ryby gotowanej — sos pomidorowy.
Sałata zielona.
Szarlotka z rabarbarum w kruchem cieście.

SOBOTA

Zupa neapalitańska z makaronem włoskim.
Szpinak garnirowany jajami sadzonemi.
Forszmak z szynki w cieście kartoflanem.
Sałata zielona.
Galaretka z białego wina owocowego.

PRZEPISY KULINARNE

Sałatka z resztek drobiu. Pokrajać drobniutko pozostały drób pieczony, albo gotowany. Pokrajać w kostkę kilka ugotowanych w mundurach i ostudzonych kartofli, marchewkę, selera. Trochę kapusty włoskiej poszatkować jak najcieniej, przelać wrzącą wodą, albo raz zagotować, osączyć. Duże jabłko winkowate pokrajać bardzo drobno, zacisnąć sokiem cytrynowym, żeby nie straciło koloru. Trochę groszku zielonego z konserwy osączyć z sosu. Wszystko to wymieszać lekko, dodając kawałek drobniutko pokrajanej cebuli obgotowanej w mocnym buljonie, który trzeba użyć do sosu, jakim zaprawiamy sałatkę.

Sos przyrządzić w następujący sposób: łyżkę oliwy, sok z pół albo całej cytryny, buljon, trochę cukru, rochę soli, dużo siekanej zieleninki, zmieszać razem, polać sałatkę, wynieść do zimna conajmniej na godzinę. Wydając na stół przybrać listkami sałaty.

Pierożki ze szpinakiem „Ravioli". 25 dkg. mąki pszennej, 1 jajko, łyżeczka masła deserowego, tyle wody, aby ciasto było delikatne, jednak niezbyt miękkie. Z tej proporcji zagnieść ciasto, jak na pierogi, przykryć je wygrzaną miseczką i pozostawić na stolnicy około pół godziny.

Obgotować szpinak na wodzie. Odsączyć bardzo starannie, a nawet odcisnąć z wody. Przefasować przez sito. Dodać: masła deserowego, sporo tartego sera szwajcarskiego, albo parmezanu (sera dać tyle, aby smak zrobił się „ciekawy"), wymieszać farsz, posolić do smaku.

Ciasto wałkować po kawałku (nie wszystko naraz, bo obeschnie). Nakładać farsz ze szpinaku i wycinać maleńkie pierożki, wielkości dwuzłotówki. Gotować na bardzo obfitej wodzie. Osączone ułożyć w rynce ogniotrwałej, przesypując każdą warstwę tartym serem i skrapiając obficie masłem klarownem. Wstawić na chwilę do pieca, żeby się doskonale wygrzały. Podawać w rynce.

Forszmak z szynki zapiekany w cieście kartoflanem. Zagnieść ciasto, biorąc na wagę równe ilości: gotowanych, fasowanych przez sito kartofli, mąki i masła. Wysmarować płaski rondel masłem, wylepić ciastem.

Zemleć na maszynce kawałki szynki gotowanej. Na $^1/_2$ kg. szynki wziąć jedno całe jajko, jedno żółtko, czubatą łyżkę masła, utrzeć to razem na pianę, dodać szynkę i kilka ugotowanych pokrajanych w kosteczkę kartofli, łyżkę wymoczonych w wodzie kaparów i pół główki kapusty włoskiej drobniutko poszatkowanej, obgotowanej i osączonej doskonale z wody. Wszystko to doprawić do smaku solą, odrobiną białego pieprzu mielonego. Ułożyć ten farsz w rondlu wylepionym ciastem, przykryć wierzchem z tego samego ciasta, wypiec w piecyku stawiając na dolnej kondygnacji, aby się od spodu ciasto zarumieniło. Wydając wyłożyć ostrożnie na okrągły półmisek. Oddzielnie podać rumiany, ostry sos kaparowy.

Budyń z ryby gotowanej z sosem pomidorowym. Proporcja: 1 kg. ryby bez skóry i ości, 6 dkg. mąki pszennej, 5 dkg. masła deserowego, $1^1/_4$ szklanki mleka słodkiego, 4 jajka, biały pieprz mielony, sól, koperek, masło do formy.

Ugotować rybę w smaku z włoszczyzny, cebuli i korzeni. Wyjąć, osączyć, obrać jak najstaranniej ze skóry i ości, przepuścić przez maszynkę. Masło przesmażyć z mąką, rozprowadzić mlekiem, zagotować, mieszając bezustannie. Odstawić, wystudzić.

Dodać do tej zaprawy siekaną rybę, pieprzu i soli do smaku, surowe żółtka. Wyrobić łyżką drewnianą. Ubić sztywną pianę z pozostałych białek, dodać do farszu rybiego, lekko wymieszać. Wysmarować zawczasu ozdobną i dosyć wysoką rynkę ogniotrwałą masłem deserowem, wypełnić ją w $^3/_4$ farszem, wsunąć do dobrze ciepłego, ale niezbyt gorącego pieca, żeby budyń wyrósł zanim się zdąży zrumienić. Piec godzinę. Wydawać w tej samej rynce polany powierzchu masłem sklarowanem. Oddzielnie sos pomidorowy.

Ryż z pieczarkami. Proporcja: 30 dkg. dyżu, 3 dkg. masła, rosół cielęcy, sól. 15 dkg. pieczarek, sok z pół cytryny, 5 dkg. masła, łyżka mąki pszennej, szklanka wyborowej kwaśnej śmietany.

Przyciąć ogonki od pieczarek, obetrzeć czystym gałgankiem z ziemi, obrać nożykiem z wierzchniej skórki, rzucając obrane pieczarki do zimnej wody zakwaszonej sokiem cytrynowym. W ten sposób nie stracą koloru.

Obrane pieczarki osączyć z wody, pokrajać na cienkie plasterki. Rozgrzać w rondelku masło, rzucić na nie pokrajane pieczarki, dusić 10 minut, nie soląc. Po pływie tego czasu rozprowadzić mąkę ze śmietaną, wlać do pieczarek, zagotować, mieszając. Doprawić do smaku solą i paroma kroplami mocnego buljonu.

Ugotować ryż na sypko na rosole cielęcym z dodatkiem masła i soli. Wysmarować rynkę ogniotrwałą masłem, dać, na dno warstwę ryżu, polać paroma łyżkami pieczarek w śmietanie, znów dać warstwę ryżu i znów pieczarki, postępując tak aż do wypełnienia rynki. Wierzchnią warstwę dać z ryżu. Skropić powierzchu masłem sklarowanem, wstawić na 15 do 20 minut do gorącego pieca przykrywając kawałkiem białego papieru wysmarowanego masłem, albo też posypać tartym serem szwajcarskim, skropić masłem, zapiec na rumiano.

Jajka Fedora.

Przesmażyć, nie rumieniąc, dobrą łyżkę masła z czubatą łyżką mąki pszennej, rozprowadzić pół szklanką mleka i pół szklanką młodej, kwaśnej śmietany, soląc przed zagotowaniem, bo inaczej sos nie będzie gładki. Do gotowanego, gęstego sosu dodać trochę siekanych (duszonych w maśle z sokiem cytrynowym) pieczarek. Dowolną ilość jajek ugotować „w koszulkach", to znaczy, wybijać ostrożnie jajka, aby nie uszkodzić żółtek, na wrzącą wodę zakwaszoną octem i posoloną. Gotować tak długo, dopóki białko się zupełnie nie zetnie. Jajko powinno być tak sztywne, aby się dało wziąć do ręki, jednak żółtko musi pozostać miękkie.

Wyjmować jajka z wody płaską łyżką durszlakową, osączając na sicie. Każde jajko umaczać w gęstym sosie pieczarkowym i układać na półmisku, wysypanym grubą warstwą tartej bułeczki. Gdy jajka zastygną, maczać je w rozbitem jajku, skrążać w bułeczce tartej i smażyć na złoty kolor na bardzo gorącym tłuszczu. Podawać na okrągłym półmisku. Oddzielnie sos pieczarkowy, doprawiony sokiem cytrynowym.

Omlet naturalny. rozbić widelcem drewnianym w garnuszku dowolną ilość jaj. Dodać trochę soli i na każde trzy jaja łyżkę młodej, kwaśnej śmietany. Roztopić na patelni, nie rumieniąc, trochę masła deserowego, wlać na masło jajka, zasmażyć, przykryć tak, aby pokrywka nie dotykała jajek i smażyć dalej pod przykryciem, albo wstawić do gorącego pieca. Omlet smażony pod przykryciem wyrasta, staje się pulchny i doskonały.

Omlet naturalny z zieleninką. Rozbijając jaja, dodać drobniutko siekanej, mieszanej zieleninki: koperku, szczypiorku, natki od pietruszki. Smażyć, jak wyżej. Wydając na stół zwinąć i polać powierzchu sklarowanem masłem.

Omlet naturalny z serem. Rozbić cztery surowe jaja, dodać: łyżkę śmietany kwaśnej i dwie łyżki tartego parmezanu, albo sera szwajcarskiego. Smażyć, jak wyżej. Wydając na stół posypać na półmisku tartym serem.

Omlet z cebulkami. Usmażyć omlet naturalny z dowolnej ilości jajek, przygotowując zawczasu szalotki, duszone w maśle i buljonie. Gotowy omlet nałożyć duszonemi cebulkami, zwinąć zrecznie, zsunąć na półmisek, polać masłem, podawać bardzo gaący.

Szalotki duszone. Obrać ze skórek małe cebulki zwane szalotkami. Raz zagotować, osączyć. Włożyć do rondelka sporo masła deserowego, roztopić, wrzu-

cić cebulki, polać łyżką buljonu, lekko osolić, dusić do czystego masła, a później postawić na ostrzejszym ogniu i zrumienić na złoty kolor.

Omlet wiosenny z jarzynkami mieszanemi. Obgotować na lekko osolonej i ocukrzonej wodzie młode jarzynki: marchewkę, łebki szparagów, groszek zielony, kalarepkę. Obgotowane jarzynki osączyć na sicie, włożyć w masło, udusić. Gdy już omlet usmażony, dodać do jarzynek sporo młodego koperku siekanego i temi gorącemi jarzynkami nałożyć omlet przed zwinięciem. Polać masłem, albo ugarnirować powierzchu zręcznie uformowanemi talarkami masła deserowego.

Lody z rabarbarum.

Piękne, grube, różowe rabarbarum (1 klg.) obrać z włókien, pokrajać na niewielkie kawałki, ugotować zupełnie na miękko w lekkim, krótkim syropie, przecedzić i przefasować przez sito. Wziąć razem 50 dkg. cukru — kryształu i tyle wody, aby syrop wymieszany z przefasowanym owocem dał 5 szklanek zaprawy. Wystudzić. Zamrażać zwykłym sposobem. Dodać 3 surowe białka.

Melba.

WAFLE

Dodatki: 250 gr. masła, 50 gr. cukru, 1 paczka cukru waniljowego D-ra Oetkera, 1 buteleczka olejku cytrynowego D-ra Oetkera, 1 buteleczka aromatu rumowego D-ra Oetkera, 6 jaj, 500 gr. mąki pszennej, 1 paczka proszku do pieczenia „Backin" D-ra Oetkera, ½ litra mleka.

Sposób przyrządzenia: Spienić masło na śmietanę, dodawać stopniowo — ciągle mięszając cukier, cukier waniljowy, olejek cytrynowy, aromat i jajka, następnie przesianą i zmieszaną z Backinem mąkę na zmianę z mlekiem i wyrobić ciasto aż do utworzenia się pęcherzyków. Na rozgrzanej patelni do wafli, posmarowanej za każdym razem sklarowanem masłem, piec wafle natychmiast na małym ogniu.

Nasze sprawy

DO WSZYSTKICH PAŃ!

Zamieszczając list „Jednej z wielu", nadesłany pod moim adresem, zwracam się do Wszystkich Pań Czytelniczek Tygodnika Kobiety z gorącym apelem przeczytania go nietylko „oczami", ale ciepłem, współczującem i solidarnem sercem kobiecem.

List ten jest wymowny, jako przyczynek do „lepszej doli", którą wywalczyły sobie kobiety samodzielne i równouprawnione.

Dola ich da się zamknąć w krótkich słowach: „za wiele, aby umrzeć z głodu — za mało żeby żyć". I takiej doli złożyły w ofierze młode lata poświęcone nanym zawodzie, rojeniem o sauce, specjalizowaniu się w obramodzielnej, pożytecznej, twórczej pracy.

Czy te z nas, które mogą przyjść z pomocą „Jednej z wielu", mają prawo pominąć jej list milczeniem? Nie chodzi tu przecież o nic więcej, jak o dopomożenie w wynalezieniu odpowiedniej pracy jednostce posiadającej fachowe kwalifikacje.

„Praca" jest wprawdzie dzisiaj nieosiągalnem marzeniem całego zastępu kobiet, a jednak przy dobrej woli znajdziemy ją napewno dla tej, która zwraca się do nas z siostrzanem zaufaniem.

Wanda Dobrzańska.

Wielce Szanowna Pani!

Z ogromną przyjemnością — zadowoleniem — i korzyścią dla siebie — czytam Pani artykuły „W obronie dnia powszedniego". Lecz największe wrażenie — wywarł na mnie artykuł z dnia 5.IV. Nr. 14. Ileż w nim prawdy! Ile odczucia prawdziwego życia — może tylko stwierdzić ta, która właśnie potrzebuje tych, które są: „możne, silne, wpływowe". Otóż naprawdę potrzebuję pomocy Wielce Szanownej Pani Redaktorki, jak również wielu Pań.

Kim jestem? Jedną z tych— o których się dużo pisze i mówi, a nie wie gdzie są.

A więc podam swój życiorys:

W roku 1927 ukończyłam Państwowe Sem. Gosp. w Warszawie. Po 2-letniej praktyce— zdałam jedna z pierwszych egzamin kwalifikacyjny, oraz egzamin dający prawo nauczania w szkołach średnich, zawodowych. Przez siedm lat pracowałam na Górnym Śląsku — skąd zostałam zwolniona (autonomja Śląska). Po roku bezrobocia — dostałam pracę w Tarnowie, w Prywatnej, Średniej Szkole Żydowskiej, Gospodarczej — za wynagrodzeniem 92 zł. 50 gr. godzin 38 w tygodniu.

Wysyłane podania do różnych kuratorjów dostaję spowrotem— bo poprostu — brak mi „pleców".

Okres wakacji niepłatny — co robić przez dwa miesiące nie mając domu?

A myśl powrotu — w te same warunki, jest ogromnie ciężka, bo i katoliczka i szkoła żydowska!

Nie chcę odrazu pisać o wszystkiem — chcę tylko prosić o pomoc — te Panie, które mi ją mogą dać.

Na wakacje każdą pracę przyjmę.

Adres mój w redakcji.

„Jedna z wielu"

Do Szanownych Czytelniczek

Tygodnika Kobiety!

Korzystając z uprzejmości Redakcji „Tygodnika Kobiety" zwracam się do Szanownych Czytelniczek pisma z następującą prośbą:

Pracuję obecnie nad broszurą o mniejszościach narodowych w Polsce. Chciałbym z zagadnieniem zapoznać się nietylko przy pomocy dostępnych mi, a istniejących już źródeł, lecz— i przedewszystkiem — w terenie. Dlatego też proszę, te z Pań Czytelniczek, które zamieszkują w okolicy, gdzie współżycie obu narodów jest specjalnie trudne, gdzie te mniejszości są specjalnie aktywne, aby zechciały do mnie napisać, lub też podać, czy i kiedy wskazany byłby przyjazd, celem zapoznania się ze sprawą na miejscu.

Jerzy K. Maciejewski

Babice k/Warszawy

ul. P. O. W. 117.

TREŚĆ NUMERU: Pani doktór idzie — *Zofja Petersowa;* Rola kobiet w ruchu zawodowym — *Marja Sierakowska;* Najzdradliwszy z pośród wrogów — *Marja Ankiewiczowa;* Opieka nad matką i dzieckiem — *M. Różycka;* Legendy z Wachau — *Hanna Muszyńska;* Uzurpator — powieść — *William Locke;* Kompleks nr. pat. 9999 — nowela — *Hanna Januszewska;* Okno na świat — *Argus;* Zwiastuny wiosny — *Joanna;* Z teatrów — *Zofja Miszewska;* Szewcka pasja — *Jadwiga Kiewnarska;* Paluchowa — sylwetka — *Romana Buzkówna;* Z ubiegłego miesiąca— Dzień Kosmetyczek; „Illo Tempore" — *Elżbieta Kiewnarska;* Woda, powietrze, słońce — *Praktyczna;* Wiadomości radjowe; Jak Cię widzą... — *Igła;* Balkony — *Joanna;* Jadłospis tygodniowy i przepisy kulinarne — *Melba;* Nasze Sprawy; Mody i roboty.

Prenumerata: miesięcznie 1 zł. 75 gr., kwartalnie 5 zł.

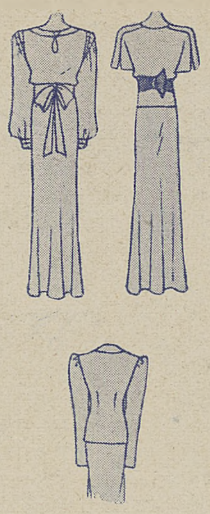
REDAKTORKA NACZELNA: *Wanda Dobrzańska.* WYDAWCA: *Kobieca Spółdzielnia Wydawnicza.*

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Szpitalna 5, m. 15, tel. 5-07-03. Konto P. K. O. 13-191.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 mm. 1 szpaltowy w dziale 3 łamowym 75 gr., cała strona 550 zł.; w dziale 4 łamowym 50 gr., cała strona 495 zł.

Drukarnia Krajowa w Warszawie. Chłodna 44. Tel. 5.88-70.









Nr. 88. SUKNIA Z GRANATOWEGO MARSOKENU W BIAŁE GROCHY, PRZYBRANA ŻABOTEM.

Nr. 89. SUKNIA Z ŻÓŁTEGO JEDWABIU W CZARNE GROCHY. PASEK CZARNY.

Nr. 90. ŻAKIECIK Z BIAŁEGO PŁÓTNA Z HAFTOWANĄ KOTWICĄ W KLAPIE.

Nr. 91. CZARNA SUKNIA JEDWABNA ZE SMOKINGIEM Z BIAŁEJ PIKI JEDWABNEJ.

Nr. 92. KOSTJUM SPACEROWY Z SZARO - GRANATOWEGO ACETANU.



SUKNIA WIECZOROWA Z JEDWABIU CZARNEGO Z BIAŁEM. SORTIE I PASEK Z ZIELONEGO AKSAMITU. PHOTO DORVINE.



JUMPEREK Z SZAREGO JEDWABIU WYKONANY NA DRUTACH. PHOTO DORVINE.

Drukarnia Krajowa w Warszawie, Chłodna 44. Tel. 5.88-70.